

ARTYKUŁ RECENZYJNY

PAWEŁ STRÓŻYK (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu)

 <https://orcid.org/0000-0003-1063-3760>

Między metodologią a metodo-*ideo*-logią historii Nad podręcznikowym Wprowadzeniem do metodologii historii

– No, więc co? Napiszemy?
– Nie – odparł Kolanko.
– Ale dlaczego?! – wrzasnął Kuba. [...]
– Syneczku – rzekł Kolanko z ową kłiwością, w której jest coś z groźby – po to, aby pisać, trzeba przede wszystkim wiedzieć, o czym się pisze. Wiedzieć, rozumiesz, to jest zasada numer jeden. Inaczej zaczyna się pisać o węzłach morskich, co jest dość atrakcyjne, łatwo sprzedażne i może być zabawne, lecz jest zarazem idiotyczne w wypadkach ciężkich i zawiłych.

Leopold Tyrmand, *Zły*, Warszawa 1955, s. 56.

Nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego ukazało się Wprowadzenie do metodologii historii¹, które zadeklarowane zostało przez autorów jako podręcznik akademicki przeznaczony dla studentów historii i pokrewnych kierunków studiów humanistycznych zainteresowanych „problematyką teorii i metodologii historii oraz nowymi tendencjami w badaniach historycznych i sposobami ich uprawiania” (s. 9). Wprowadzenie jest zbiorowym dziełem zespołu 24 autorów (z niewiadomych przyczyn zapowiedziano we Wstępie dwudziestopięciuosobowy zespół autorski), kierowanych przez Ewę Domańską i Jana Pomorskiego (redaktorzy naukowci), przy wsparciu Aleksandry Kuligowskiej i Piotra Kowalewskiego Jahromi (redaktorzy pomocniczy). Na całość – zaprezentowaną w 5 głównych częściach, a w ich ramach – w 33 rozdziałach – złożyły się teksty badaczy z 9 ośrodków uniwersyteckich

¹ Wprowadzenie do metodologii historii, redakcja naukowa: E. Domańska, J. Pomorski, redaktorzy pomocniczy: A. Kuligowska, P. Kowalewski Jahromi, opracowanie: Komisja Teorii i Historii Historiografii oraz Metodologii Historii Komitetu Nauk Historycznych PAN, Warszawa 2022, ss. 572. Krytycznej dyskusji z tą publikacją poświęcony został niemal cały zeszyt *Przeglądu Historycznego* 114, 2023, z. 4; zob. także P. P i w o w a r c z y k, *Metodologia historii, czyli wołanie na puszczy*, *ArtPapier* 4 (460), 2023 <<https://artpapier.com/index.php?page=artykul&wydanie=457&artykul=9272>>.

oraz PAN². Pracę – liczącą ponad 570 stron – otwiera krótki Wstęp, który przede wszystkim wyjaśnia potencjalnemu czytelnikowi, jakie intencje stały za całym przedsięwzięciem. Jak zadeklarowali redaktorzy, a pośrednio także sami autorzy³, celem było dokonanie przeglądu wybranych zagadnień metodologicznych, który (1) pozwoli studentom rozeznać się w przedmiocie refleksji uprawianej przez „środowisko metodologiczno-historiograficzne”, (2) skłoni ich do pracy nad „własną świadomością i kulturą metodologiczną w obszarze historii” oraz (3) umocni pozycję metodologii historii jako subdyscypliny badań historycznych (s. 9). Redaktorzy wskazali, że Wprowadzenie do metodologii historii uwzględnia perspektywę metodologii empirycznej, a więc takiej, która „rozpatruje metodologiczne problemy wiedzy historycznej w odniesieniu do praktyki badawczej historyka, analizując efekty prowadzonych przez niego badań (różnych sposobów przedstawiania przeszłości)” (s. 11) i wyrazili nadzieję, że podręcznik stanie się ważnym elementem „unowocześnienia studium historii na polskich uniwersytetach i poszerzenia zainteresowań problematyką metodologiczną wiedzy historycznej i kulturą historiograficzną reprezentantów innych dyscyplin humanistycznych i nauk społecznych” (s. 15).

Ukazanie się podręcznika do metodologii historii z pewnością zasługuje na baczną uwagę nie tylko studentów historii, ale przede wszystkim samych historyków, przedsięwzięcie należy bowiem postrzegać także w wymiarze pozanaukowym (ideologicznym). Ma być ono przecież zwiastunem oczekiwanych zmian („unowocześnienia”) w ramach studiów historycznych na polskich uniwersytetach. Te zaś studia – jak należy rozumieć deklarowaną przez jego autorów potrzebę „unowocześnienia” – muszą być, ich zdaniem, metodologicznie zapóźnione (coś, co jest nowoczesne, nie wymaga przecież „unowocześnienia”). Skąd jednak u metodologów owo przeświadczenie o jakimś zapóźnieniu w tym obszarze studiów historycznych, skoro to oni sami wykładają na nich metodologię historii? Nie sądzę, aby uznawali oni swoje dotychczasowe działania za nienowoczesne i chcieli je radykalnie ulepszać, raczej dostrzegam tu przejaw pewnej frustracji środowiska metodologów, związany z realnie niewielkim oddźwiękiem propagowanych przez nich koncepcji wśród zdecydowanej większości historyków czynnie uprawiających badania. Wyłożenie więc tych koncepcji i zadekretowanie ich w podręczniku ma im raczej nadać charakter obowiązującego *status quo* dla historycznych środowisk akademickich. Jeśli jakies

² Autorzy poszczególnych rozdziałów (wyliczeni tu w kolejności alfabetycznej): Krzysztof Brzechczyn, Anna Brzezińska, Maciej Bugajewski, Ewa Domańska, Tomasz Falkowski, Maciej Janowski, Violetta Julkowska, Piotr Kowalewski Jahromi, Aleksandra Kuligowska, Marta Kurkowska-Budzan, Mariusz Mazur, Jakub Muchowski, Wojciech Piasek, Joanna Pisulińska, Jan Pomorski, Maria Solarska, Ewa Solska, Rafał Stobiecki, Wiktor Werner, Tomasz Wiślicz, Piotr Witek, Joanna Wojdon, Krzysztof Zamorski, Anna Ziębińska-Witek, reprezentują następujące placówki naukowe: poznański UAM (7), lubelski UMCS (5), Uniwersytet Jagielloński (3), Uniwersytet Łódzki (2), Uniwersytet Warszawski (1), Uniwersytet Wrocławski (1), Uniwersytet Śląski (1), Uniwersytet Rzeszowski (1) oraz Instytut Historii PAN (2).

³ Przyjmuję tu, że w przypadku podręcznika obowiązuje rodzaj odpowiedzialności zbiorowej; autorzy decydujący się na opublikowanie rozdziału pośrednio akceptują ogólne założenia całej pracy i narzucony im przez redaktorów tomu kontekst innych obecnych tam tekstów. Nadmienię też, że określenia „metodolodzy” używać będę ze względu na charakter omawianej pracy, chociaż nie wszyscy autorzy podręcznika nimi są.

lansowane koncepcje nie mogą się przebić na drodze naukowej wymiany poglądów, to można je zawsze wprowadzić drogą urzędową, jako oficjalnie obowiązującą wykładnię uprawiania nauk historycznych. Temu zapewne służyły wspomniane we Wstępie zabiegi podjęte przez metodologów jeszcze przed powstaniem podręcznika. Najpierw Komisja Teorii i Historii Historiografii oraz Metodologii Historii Komitetu Nauk Historycznych PAN wypracowała dokument, w którym zawarła rekomendacje „w zakresie kształcenia w bloku przedmiotów poświęconych teoretycznym i metodologicznym problemom wiedzy historycznej na studiach I i II stopnia kierunku historia” (s. 14), następnie Komitet Nauk Historycznych przyjął go stosowną uchwałą, a potem rozesłano dokument do „wszystkich dyrekcji Instytutów Historii oraz dziekanów Wydziałów Historycznych w Polsce, a także do Polskiej Komisji Akredytacyjnej” (s. 14). A zatem pod owym oczekiwanym „unowocześnieniem” rozumieć należy chęć narzucenia metodami administracyjnymi określonego kierunku myślenia metodologicznego (doktryny), którego podręcznik będzie jedyną wykładnią. Jakże niepokojąco przypomina to znaną dyrektywę Karola Marksa: „die Philosophen haben die Welt nur verschieden interpretiert, es kommt darauf an, sie zu verändern” (Thesen über Feuerbach, 1845).

Nieprzypadkowo przywołujemy tu stwierdzenie właśnie tego filozofa, trzeba bowiem koniecznie zwrócić uwagę, że podręcznik, wbrew pozorom prezentacji *spectrum* poglądów, koncentruje się tylko na wybranym nurcie refleksji metodologicznej. Redaktorzy zadeklarowali, że oczekiwany podręcznik, „który w sposób przeglądowy i przystępny zebrałby efekty najnowszych badań prowadzonych w Polsce i na świecie w ramach metodologii, teorii i historii historiografii” (s. 14), ma także zaktualizować wiedzę „na ten temat przedstawioną wcześniej w znakomitych – publikacjach autorstwa profesora Jerzego Topolskiego” (s. 14). To zatem bez wątpliwości wpisuje przedstawioną pracę w nurt współczesnej postmarksowskiej refleksji liberalno-lewicowej. A to musi mieć – i oczywiście ma – swoje określone konsekwencje natury ontologicznej, epistemologicznej i aksjologicznej. A więc nie oczekujemy naiwnie (mimo pozornie złożonych we Wstępie deklaracji), że oto otrzymujemy w miarę pełny, a przynajmniej reprezentatywny, przegląd najnowszych badań, a przyjmijmy do wiadomości, że jest to jedynie przegląd wybranych badań i poglądów (mieszczących się w aprobowanym przez autorów nurcie ideowym). Takie podejście – jeśli nie zostało jasno wyartykułowane (najlepiej w samym tytule książki), a nie zostało – uznać należy niewątpliwie za (nie)świadomy przejaw ideologizowania nauki historycznej. Autorzy mają oczywiście pełne prawo i do własnych poglądów i do możliwości ich zaprezentowania, ale mają też obowiązek precyzyjnego i rzeczowego określenia zakresu pomieszczonych w pracy treści (notabene to przecież jeden z metodologicznych wymogów każdej naukowej pracy historycznej). Wobec tych uwag Wprowadzenie nie może być uznane (zgodnie ze znaczeniami nadawanymi temu słowu przez słowniki języka polskiego) za obiektywną pracę orientującą użytkownika w bogatym materiale, zaznajamiającą go z nim czy podającą podstawowe informacje dotyczące określonej dziedziny wiedzy. Tak bowiem nie jest, chociaż wyznawany i prezentowany przez autorów kierunek refleksji zadeklarowany został jako pełny i obiektywny przegląd tego, co dzieje się w ogóle w metodologii historii. Tym bardziej więc należy się uważnie przyrzeć treściom wypełniającym podręcznik,

a także sposobowi ich prezentacji. Kompleksowe omówienie wszystkich istotnych kwestii przekracza z pewnością możliwości artykułu polemiczno-recenzyjnego i wymagałoby napisania nowego podręcznika, ale na kilka kwestii koniecznie warto zwrócić uwagę.

*

Podręcznik, jak wspomnieliśmy, jest dziełem zbiorowym. Należy zatem postawić zasadnicze pytanie: czy prezentowane w nim treści oraz podstawowe pojęcia zostały uzgodnione pomiędzy wszystkimi współautorami i przez nich wspólnie zaakceptowane, czy też może mamy do czynienia ze zlepkiem wycinkowych poglądów i indywidualnie stosowanych pojęć, które mieszczą się wprawdzie we wspólnie wyznawanych nurtach ideowych, ale nie zachowują jednak oczekiwanej jednorodności i konsekwencji? A zatem: blok czy mozaika poglądów w wykonaniu zespołu autorów? Gdzież bardziej niż w tego rodzaju pracach (podręcznikach) potrzebna jest precyzja i konsekwencja? „Każdy poważny namysł”, jak wprost zadeklarowali metodolodzy, wymaga przecież także „myślenia pojęciowego: systemu kategorii metodologicznych (narzędzi intelektualnych), służących do prowadzenia analiz” (s. 24). Tymczasem owe narzędzia na kartach podręcznika okazują się nie być ani wystarczająco uzgodnione, ani dość precyzyjne.

Przykładowo: Maciej Bugajewski (s. 288-289), objaśniając złożone kwestie narracji historycznej, odwołał się do pojęciowej triady stosowanej przez J. Topolskiego: fakt historyczny (składowa przeszłości) – fakt źródłowy (fakt utrwalony w źródle historycznym) – fakt historiograficzny (rekonstrukcja faktu historycznego przez historyka), ale już J. Pomorski (s. 39-40) wykorzystał w swoich rozważaniach zgoła odmienny schemat: wydarzenie – fakt źródłowy – fakt historyczny (kreowany przez historyka). To zatem, co u Bugajewskiego jest faktem historiograficznym, u Pomorskiego jest faktem historycznym, albo inaczej rzecz ujmując: to samo językowe pojęcie faktu historycznego u obydwu autorów diametralnie różni się treścią. Jeżeli autorzy podręcznika nie uzgodnili tak podstawowych kwestii, to jak w tym wszystkim ma się odnaleźć potencjalny student, wchodzący dopiero w zawiły świat pojęć stosowanych w rozważaniach teoretycznych? Jeśli dodamy do tego, że w całym podręczniku w ogóle nie wspomniano propozycji Gerarda Labudy⁴, z której czerpie Jan Pomorski, to zasadne staje się pytanie o proces uzgadniania treści i zestawu pojęć zamieszczonych we Wprowadzeniu oraz o konsekwencje płynące z przypadków

⁴ Zob. G. Labuda, O metodyce kształcenia młodych historyków, *Kwartalnik Historyczny* 67, 1960, nr 3, s. 724-727; t e n ż e, O metodzie kształcenia młodych historyków, w: tegoż, *Rozwój metod dziejopisarskich od starożytności do współczesności*, cz. 1: Do schyłku XIX wieku, Poznań 2003, s. 179-183. G. Labuda posługiwał się triadą: fakt źródłowy – fakt historyczny (ustalany przez historyka w wyniku zabiegów krytycznych) – fakt historiograficzny. Jego nazwisko pojawiło się w podręczniku tylko dwukrotnie: na s. 43, jako autora wyboru tekstów źródłowych, oraz na s. 270, gdzie wspomniany został w kontekście podziału źródeł historycznych (jednak bez odesłania do konkretnej pracy: G. Labuda, *Próba nowej systematyki i nowej interpretacji źródeł historycznych*, *Studia Źródłoznawcze* 1, 1957, s. 3-52; t e n ż e, *Próba nowej systematyki i nowej interpretacji źródeł historycznych z Posłowiem*, Poznań 2010).

takich, jak tu przywołany. Za użytymi pojęciami narzędziami kryją się przecież zupełnie odmienne koncepcje metodologiczne, co nie tylko współautorzy powinni byli uświadamiać sobie, ale co przede wszystkim powinni uświadomić odbiorcom swojego podręcznika.

Ale nie tylko takie niekonsekwencje daje się zauważyć na kartach podręcznika. Wiele do życzenia pozostawia samo definiowanie kluczowych pojęć (a niekiedy znamienne ich niedefiniowanie). Wiele niejasności wzbudza także dostrzegalny brak spójności w prezentowanych wywodach, które wynikać powinny z przyjętych wcześniej założeń i zadeklarowanych ograniczeń (definicji). Oto we Wstępie otrzymaliśmy bowiem definicję sprawozdawczą metodologii historii (s. 10), z której wynika, że ta subdyscyplina historii zajmuje się: (1) przedmiotem tych badań (co to jest historia, co to jest fakt historyczny etc.), (2) czynnościami poznawczymi historyka (ustalenie faktów, wyjaśnianie, interpretowanie etc.) oraz (3) efektami badań prowadzonych przez historyka („różnych form przedstawiania przeszłości między innymi w formie materialnej, pisanej czy wizualnej”)⁵. Redaktorzy zadeklarowali przy tym, że przyjmują „perspektywę metodologii empirycznej, silnie akcentując związek rozważań *stricte* metodologicznych z praktyką badawczą historyka, pisarstwem historycznym oraz innymi sposobami reprezentacji przeszłości” (s. 11)⁶. Dlaczego wobec tego podręcznik nosi tytuł Wprowadzenie do metodologii historii, a nie np. „Wprowadzenie do empirycznej metodologii historii”?

Pozostawiając to pytanie bez odpowiedzi, zauważmy i podkreślmy, że przedstawione założenia wyraźnie odnoszą się do historyka i prowadzonych przez niego naukowych badań historycznych, koncentrując się (w perspektywie empirycznej) na wytworach tych badań. To niezwykle istotna kwestia, na którą zwracamy tu uwagę, spodziewać moglibyśmy się bowiem, że podręcznikowe rozważania na tym właśnie się skupią. W rozdziale Historia jako przedmiot refleksji metodologicznej czytelnik dowiaduje się, że metodologia historii „bada i reflektuje nad historiografią” (s. 19), gdyż przedmiotem metodologii są badania nad społeczną praktyką historiograficzną (SPH) *vel* społeczną praktyką badań historycznych (SPBH). Jednak przy objaśnianiu tej kwestii J. Pomorski zastrzegł, że „historiografia to pojęcie zakresowo szersze, wykraczające poza naukowe badania historyczne” (s. 24). Nauka historyczna zatem została potraktowana tylko jako jeden z typów praktyki społecznej (s. 25). Potencjalny student może więc poczuć się nieco zdezorientowany. To w końcu – zgodnie z przyjętą wcześniej definicją – empiryczna metodologia historii zajmuje się badaniem wytworów pracy historyka czy badaniem wszelkich wytworów dociekań historycznych, niezależnie od tego, kto je prowadził (a więc także wytworów nienaukowych)?

Niejasności jeszcze się pogłębiają, gdy przejdziemy do kolejnego rozdziału: Metodologia jako metarefleksja nad historiografią i innymi reprezentacjami przeszłości. Tam znalazło się stwierdzenie, że „istotą metodologii historii jest namysł nad różnymi

⁵ Inaczej sformułowaną definicję metodologii podała Ewa Domańska w rozdziale o Metodologii praktycznej (s. 359).

⁶ W dołączonym schemacie przedstawiającym rodzaje metodologii historii (s. 11), metodologia empiryczna została opisana jako ta, która „rozpatruje metodologiczne problemy wiedzy historycznej w odniesieniu do praktyki badawczej historyka, analizując efekty prowadzonych przez niego badań (różnych sposobów przedstawiania przeszłości)”.

formami obecności przeszłości w naszym życiu” (s. 36). A więc już nie tylko szeroko rozumiana historiografia, lecz także inne formy i sposoby reprezentacji przeszłości⁷. Jako przykłady owych reprezentacji zestawiono obok siebie: dokumenty źródłowe (*sic!*), nowożytny epitafium naścienne, pracę francuskiego historyka Emmanuela Le Roy Ladurie, literackie dzieło Olgi Tokarczuk, wyjątek z dziennika Wiery Kostrowickiej (wykorzystany przez Timothy’ego Snydera) czy wiersz Wisławy Szymborskiej. W kontekście reprezentacji przeszłości poprzez wizualizację przywołano malarstwo historyczne (Matejki, Grottgera, Siemiradzkiego, Styki i Kossaka), drzewa genealogiczne, muzea historyczne, fotografię i film, spektakle rekonstrukcji historycznych, a w kontekście reprezentacji przeszłości opartych na dźwięku – utwory heavy metalowej grupy Sabaton. Zauważmy, że w jednym szeregu z profesjonalnymi historykami (Emmanuelem Le Roy Ladurie czy Timothyem Snyderem) znaleźli się artyści, literaci i muzycy, czyli zrównano naukowe „reprezentacje przeszłości” z nienaukowymi, a do tego reprezentacje dawne i współczesne. I nad tym wszystkim metodolodzy historii chcą prowadzić swój zadeklarowany „namysł” (i to bez uściślenia: pośredni czy bezpośredni?). Ale jak ma się to do wcześniejszych wskazań, że metodologia zajmuje się wytworami badań prowadzonych tylko przez historyków? Wyraźny kłopot z jasnym określeniem rzeczowego zakresu dyscypliny stanowczo nie świadczy na korzyść podręcznika. Pomińmy tu całą absurdalność zabiegu zrównywania działań profesjonalnych historyków z działaniami każdego dowolnego opowiadacza o przeszłości, ale zauważmy, że takie ujęcie doprowadzić musi w konsekwencji do zniwelowania odrębności i naukowego statusu naszej dyscypliny (w tym także metodologii historii jako jej subdyscypliny). Jeśli bowiem potencjalnie każda wypowiedź o przeszłości („reprezentacja”) ma być tak samo ważna, to i każdą metarefleksję można będzie tak potraktować – niezależnie od tego, czy wygłoszona zostanie przez metodologa historii czy przez jakiegoś przygodnego komentatora.

Jeżeli „nad rozmaitymi formami obecności przeszłości w naszym życiu” metodolodzy zechcą jedynie prowadzić „namysł” (w rozumieniu niezobowiązującego myślenia o czymś), to nie widzę istotnych zagrożeń, jeżeli jednak zechcą naukowo wykraczać poza obszar historiografii, czyli wkraczać na obszar „innych reprezentacji przeszłości”, a efektem owego „namysłu” miałyby być prace o naukowych pretensjach, to musimy postawić pytanie: jakimi naukowymi kompetencjami dysponują metodolodzy do reflektowania nad wytworami, których głębiej nie studiują? Takie badania powinno się pozostawić przygotowanym historykom specjalistom, a nie metodologom. To oni (historycy kultury, sztuki, muzyki, literatury, filmu etc.) są kompetentni do analizowania obecności wątków historycznych w malarstwie, utworach muzycznych, powieściach, wierszach czy filmach (są to po prostu złożone kwestie historyczne wymagające przemyślanych i metodycznie zaawansowanych badań)⁸. Metodolodzy zaś zdecydowanie powinni pozostać przy rozważaniu owych efektów (wytworów)

⁷ To zaznaczono już w definicji metodologii, ale tylko w odniesieniu do wytworów badawczej działalności historyków (s. 10).

⁸ Oczywiście nie wykluczam, że są metodolodzy, którzy jednocześnie uprawiają konkretne, analityczne badania historyczne i mogą podjąć takie wyzwania, ale wówczas analiza będzie się lokowała na innym poziomie badawczym, niż lokują się metadociekania, będące deklarowanym tu przedmiotem badań metodologów.

naukowych badań prowadzonych w tym zakresie przez historyków, w przeciwnym bowiem razie ich próby z góry skazane będą na niepowodzenie (o czym można się już zresztą przekonać, studiując niektóre dokonania w tym zakresie)⁹. Ich efektem z pewnością nie będą rozważania *stricte* naukowe, a co najwyżej jakaś forma lepszej lub gorszej eseistyki humanistycznej. O niedostatkach zaś lansowanej koncepcji prowadzenia metarefleksji nie tylko nad historiografią, ale także nad „innymi reprezentacjami przeszłości”, dobitnie zdaje się świadczyć całkowity brak zrozumienia tego, że w wymiarze praktycznym w ogóle nie sposób bezpośrednio metarefleksyjować nad owymi innymi reprezentacjami przeszłości, zanim się ich znaczeń, kontekstów czy funkcji nie zbada i nie uformuje w wypowiedź językową (zwerbalizuje). Wszelkie np. obrazowe reprezentacje należy najpierw opisać, zinterpretować i sprowadzić na poziom języka, w ramach którego prowadzimy naukową wymianę myśli. I nawet wewnętrzny nad nimi „namysł” musi uzyskać taką myślowo-językową postać, stając się formą „myślnej autohistoriografii”. Metarefleksyjując więc nad reprezentacjami przeszłości, koniec końców rozważać można tylko jakąś językową formę historiograficzną – napisaną, wymówioną lub pomyślaną. Nie wyobrażam sobie bowiem, aby np. efektem jakiegoś bezpośredniego „namysłu” metodologa nad treściami obrazu Jana Matejki było namalowanie przez niego „metakomentującego” obrazu o naukowym charakterze, ten ostatni bowiem także musiałby ostatecznie zostać przez kogoś przełożony na wypowiedź językową, aby ta mogła zaistnieć w naukowym obiegu. Ale może moja wyobraźnia jest zbyt zachowawcza.

Pomieszczenie deklarowanych kompetencji i zakresów badawczych z pewnością nie przydaje blasku podręcznikowi. Wyraźnie dostrzec można, że nawet absolutnie podstawowe kwestie nie zostały w nim dostatecznie przemyślane i właściwie zaprezentowane, co pozwoliło metodologom uznać (niestety błędnie), iż pewne zagadnienia, które bywają przedmiotem osobnych badań historycznych, mogą stać się nagle (bez pośrednictwa „regularnych” historyków) przedmiotem ich własnej, bezpośredniej metarefleksji¹⁰. Na marginesie zapytać można – dlaczego „meta”? Przecież przy tak zaproponowanym ujęciu podobnej „metarefleksji” na co dzień dokonuje niemal każdy historyk, zawsze wtedy, gdy przekaz źródłowy z którym się zetknie, jest rodzajem wypowiedzi o przeszłości. A taki właśnie charakter, zauważmy, ma praktycznie każde źródło historyczne, które – stosując tu nomenklaturę Jerzego Topolskiego – uznamy za „pośrednie”, czyli takie, przy którym pojawi się problem badania wiarygodności informatora. Odróżnijmy więc (nie mieszając ze sobą) „regularne” badania historyczne i wykorzystywane w ich trakcie źródła historyczne (także te, których

⁹ Brak właściwego rozumienia i właściwego definiowania zakresu rzeczowego własnego pola badawczego skutkuje m.in. stałym zacieraniem granicy między refleksją uprawianą przez historyków a każdą inną refleksją na tematy historyczne, prowadzoną przez nie-historyków. Rozróżnijmy zatem: badanie wątków, tematów i odniesień historycznych lub historiozoficznych w twórczości Jana Matejki, Andrzeja Wajdy czy Olgi Tokarczuk nie może być tożsame z traktowaniem Matejki, Wajdy czy Tokarczuk jako historyków (którymi nie są!). Należy dostrzec i zaakceptować tę różnicę.

¹⁰ W takim ujęciu metodolodzy musieliby wykonać podwójne badanie: jako historycy musieliby dokonać analizy badanej „reprezentacji przeszłości”, a dopiero potem – jako metodolodzy – mogliby refleksyjować nad nią na poziomie „meta”.

przekazy przynoszą poglądy dotyczące przeszłości) od definicyjnie zadeklarowanej przez metodologów chęci metarozważań nad wytworami badań prowadzonych przez historyków („różnych form przedstawiania przeszłości”). To dwie zasadniczo odmienne kwestie, pomimo pozornych podobieństw. Nie zapominajmy przy tym, że istnieją różne formy poznawania, pisania i myślenia o przeszłości, musimy jednak precyzyjnie rozróżniać sposoby naukowe, za którymi stoi (a przynajmniej stać powinna) określona naukowa metodyka badawcza, od wszelkich innych, a od metodologów oczekiwać, że będą reflektowali wyłącznie nad naukowymi sposobami rozpoznawania (rekonstruowania) przeszłości. Jednocześnie należy zdecydowanie przestrzec przed metodologiczną mrzonką, głoszącą możliwość bezpośredniego metodologicznego metarefleksowania nad innymi niż historiograficzne, formami wypowiedzi historyków, a także przed deklarowaną chęcią metarefleksowania także nad wszelkimi wytworami nie-historyków (to domena „regularnych” historyków różnych specjalności, w tym oczywiście także historyków historiografii). W innym bowiem razie metodologia historii będzie musiała ostatecznie porzucić własne naukowe założenia, staczając się w otchłań bliżej nieokreślonej eseistyki humanistycznej, która może i będzie dla kogoś intelektualnie interesująca, ale z pewnością nie dla tych, którzy spoglądają na sprawę z perspektywy naukowych badań historycznych.

*

Poczynione uwagi dotyczące zadeklarowanego w podręczniku empirycznego zakresu zainteresowań metodologii historii w żadnym razie nie wyczerpują w tym zakresie naszych wątpliwości. Zaproponowane ujęcie metodologiczne w ogóle uznać należy za dyskusyjne, koncentruje się ono bowiem przede wszystkim na wytworach praktyki badawczej historyka – na pisarstwie historycznym czy (jak zauważyliśmy: błędnie) na „innych sposobach reprezentacji przeszłości”, które w rzeczywistości proceduralnej lokują się poza właściwym badaniem historycznym i mają charakter postbadawczy (wytworu badania nie można przecież utożsamiać z samym badaniem; wytwór jest tylko jego następstwem). Etap konstruowania przez historyka swojej wypowiedzi o przeszłości jest niezwykle ważny (gdyż to z tą wypowiedzią ostatecznie obcuje inni), ale poprzedza je właściwe badanie naukowe, zamknięte w trzech głównych etapach: heurystycznym, krytyki źródeł historycznych i rekonstrukcji historycznej (notabene ten ostatni bywa różnie mianowany). Ważne jest zatem, aby także i je dogłębnie rozpoznać i opisać z perspektywy metodologicznej, tam bowiem dochodzi do właściwych działań naukowych. Wprowadzanie więc studentów do metodologii historii bez dostatecznego uwzględnienia i właściwego naświetlenia tych podstawowych kwestii, uważam za działanie wysoce szkodliwe i wysoce nieetyczne. Akcentowanie jednych zagadnień, a pomijanie innych, bez wątplenia jest bowiem sugerowaniem studentom-odbiorcom określonych priorytetów i hierarchii wartości (tu: w zakresie działań podejmowanych przez historyków). Kiedy więc Rafał Stobiecki w pierwszym zdaniu swojego rozdziału pt. Etyczny wymiar poznania historycznego, nader słusznie zwrócił uwagę na to, że „historyk w swoich działaniach nie jest w stanie uciec od zagadnień o charakterze etycznym” (s. 429), to pamiętajmy i o tym, że to stwierdzenie dotyczy także metodologów historii (a nawet: zwłaszcza ich). Należało więc – zabierając się za podręcznik – najpierw

rozważyć i tę złożoną kwestię. Jakikolwiek w tym zakresie były intencje autorów, to efekt ma wydźwięk metodo-*ideo*-logiczny. Nie możemy bowiem zapominać, że w obszarze nauki ważniejsze od tego, jak piszemy, jest to, jak dochodzimy do tego, co chcemy napisać (forma jest istotna, ale nie przesądzająca). I to właśnie te działania decydują ostatecznie o tym, czy konkretna wypowiedź jest naukowa czy nienaukowa, a od założeń i mechanizmów przyjętych i stosowanych w trakcie trzech wymienionych etapów zależy w istocie naukowy status naszej dyscypliny (na tym polu, nie innym, rozgrywa się jej naukowość). Widoczne na kartach omawianego podręcznika rozmywanie i bagatelizowanie wspomnianych kwestii uznać należy za działanie wysoce nieprzemysłane i szkodzące wszelkim naukom historycznym.

O istocie i znaczeniu działań na etapie heurystycznym w podręczniku głucho. Nie mam tu na myśli czysto technicznego opisu czynności zbierania źródeł (niestety zwykle do tego jedynie sprowadza się metodologiczne myślenie o tym etapie pracy historyka), ale refleksję nad znaczeniem tego etapu dla całości badania historycznego. A sprawa nie jest błaha, coraz więcej pojawia się bowiem – jak to ujmują metodolodzy – „reprezentacji przeszłości”, którym pozornie niczego nie można zarzucić, z wyjątkiem jednego – tendencyjnego (ideologicznego) doboru źródeł historycznych¹¹. Takie zaś praktyki z etapu heurystycznego zawsze kładą się długim cieniem na całym badaniu historycznym i ich końcowym efekcie, a niedostrzeżenie przez metodologów tego problemu szeroko otwiera drzwi także i „regularnym” historykom do uprawiania zideologizowanej historiografii, zwłaszcza na nowych polach badawczych i w ramach licznie powoływanych subdyscyplin.

Niewątpliwie służy temu także wyraźnie obecna na kartach omawianego podręcznika swoista „filozofia” modelowania badania historycznego, w którym pierwszoplanową rolę odgrywać mają wszelkiego rodzaju teorie i z góry nakreślone paradygmaty. Sprawa zaszła już tak daleko, że metodolodzy chcieliby nawet, aby także sami studenci tworzyli własne teorie i dowolnie wykorzystywali pojęcia badawcze z innych nauk. Ale zapytajmy: jakie kompetencje może mieć w tym zakresie student historii (wyjawszy jakieś wybitne jednostki)? Nawoływanie do takich praktyk zakończyć się musi totalnym triumfem amatorszczyzny w najczystszej wydaniu i w konsekwencji przysłym, całkowitym rozpadem profesjonalnych badań historycznych, skoro każdy będzie robił po swojemu, dysponował swoimi własnymi pojęciami i *ad hoc* tworzonymi teoriami. A poza wszystkim warto tu przypomnieć metodologom – że żaden szanujący się historyk nie pracuje na teoriach, tylko na źródłach historycznych (pewne teoretyczne ujęcia wykorzystując niekiedy jako ewentualne narzędzia pomocnicze w procesie badawczym). Bada źródła historyczne i formułuje na ich podstawie wnioski. Wykorzystując zaś z góry przyjęte lub *ad hoc* opracowane (przez siebie lub przez innych) teorie i dowodząc ich racji na podstawie źródeł historycznych (zwykle z góry dobranych pod wyjściową tezę), może co najwyżej zasłużyć na miano propagandzisty, a nie rzetelnego uczonego. Niestety ten ostatni trend zaczyna być niepokojąco widoczny we współczesnych badaniach historycznych

¹¹ Zob. A. P a j ą c z k o w s k a, Nieprzezroczyście. Historie chłopskiej fotografii, Wołowiec 2023. Nie jest to co prawda dzieło historyka, ale przecież takim „reprezentacjom przeszłości” metodolodzy otwarli szeroko drzwi, mając za jedno historyków i nie-historyków.

(nie wspominając o wszelkich dyletanckich „reprezentacjach przeszłości”), zwiastując może – oby nie – nadchodzący schyłek naukowej historii. Skoro bowiem krytyczne badania historyczne nie zawsze były obecne w przeszłości, może ich przecież nie być kiedyś w przyszłości. Wszystko jest zatem możliwe, ale tymczasem historyk bada zastany materiał źródłowy – nie zaś dowodzi z góry stawianych tez. Jeśli się tego nie pojmuje, nie warto w ogóle uprawiać historii, a już na pewno nie należy zajmować się jej metodologią, chyba że nie uprawia się ich w imię naukowej prawdy, ale w jakimś innym, ukrytym celu.

Być może moje oczekiwania są zbyt wygórowane, ale wolałbym jednak, aby student na kartach podręcznika otrzymał jasno sprecyzowany i klarownie wyłożony obraz tego wszystkiego, co powinien bezwzględnie zrozumieć i opanować (przyswoić sobie), podejmując studia na którymś z kierunków historycznych, a nie zlepek różnych, niekiedy sprzecznych wypowiedzi, które nie dość, że nie układają się w oczekiwaną całość, to jeszcze niosą fałszywe przesłanie, że wszystko jest względne, że każdy sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. Takie postawienie sprawy na kartach podręcznika prowadzić musi co bardziej dociekliwych studentów do wniosku, że studiowanie kierunków historycznych nie jest raczej racjonalne, to bowiem, czy zna się i rozumie mechanizmy naukowej historii czy też nie, nie ma właściwie żadnego praktycznego znaczenia wobec faktu, iż każda wypowiedź o przeszłości i „każda reprezentacja przeszłości” jest tak samo naukowo ważna. Zapewne wielu studentów po lekturze tego podręcznika poważnie się zastanowi, czy warto żmudnie zgłębiać naukowe tajniki dyscypliny i pisać o przeszłości w rygorystyczny, naukowy sposób. Alternatywnie można przecież na mediach społecznościowych donieść znajomym o jakimś przeszłym wydarzeniu (np. zjedzonym wczoraj obiedzie) i już jest się autorem „reprezentacji przeszłości”, o której inni mogą się twórczo rozpisywać. Po co więc analizować i wyjaśniać, skoro można być analizowanym i wyjaśnianym?

*

Zaprezentowana na kartach podręcznika wizja tego, czym ma się zajmować metodologia historii i jakie są jej „priorytety badawcze”, położyła się długim cieniem na prezentacji tak podstawowych dla nauki historycznej pojęć, jak źródło historyczne i fakt historyczny. A przecież ich rozumienie niesie ze sobą dalekosiężne skutki, z których – jak wynika z lektury Wprowadzenia – metodolodzy albo w ogóle nie zdają sobie sprawy, albo nie chcą zdawać sobie sprawy (z jakich powodów?). Może powinni podjąć w tym obszarze konieczną auto-meta-refleksję.

Zacznijmy od pierwszego z tych pojęć, omówionego przez Aleksandrę Kuligowską. Jej wypowiedź rozpoczyna się interesującym, ale nieprawdziwym stwierdzeniem, że „teoria źródła historycznego od lat nie cieszy się popularnością, a zarówno rodzima, jak światowa historiografia zmarginalizowały niemal całkowicie wszelkie spory o jego definicję” (s. 259). Kilkanaście lat temu sam podjąłem rozważania nad pojęciem źródła historycznego, zakończone jego nowym zdefiniowaniem i wskazaniem kilku istotnych, dyskusyjnych kwestii do dalszego namysłu¹². Zgłoszona propozycja

¹² P. Stróżyk, *Źródła ikonograficzne w badaniu źródłoznawczym na przykładzie drzew gnieźnieńskich*, Poznań 2011, s. 54-75.

nie spotkała się z żadną reakcją ze strony metodologów historii (ani pozytywną, ani negatywną); prawdopodobnie, goniąc za światowymi nowinkami, albo nie zdołali oni przez całą dekadę zapoznać się z przedstawioną koncepcją, albo uznali, że propozycje wychodzące z kręgu nie-metodologów w ogóle nie zasługują na ich uwagę. Wspominając o marginalizacji sporów o definiowanie źródła historycznego, warto mieć zatem na uwadze, że można w historiografii zmarginalizować jakiś problem przez jego (nie)świadome niedostrzeżenie – to jedna ze współczesnych strategii naukowych¹³. Trudno, żebym spierał się sam z sobą o własną definicję źródła historycznego, a ci, którzy powinni się o to ze mną spierać, wyraźnie nie są sprawą zainteresowani.

Autorka słusznie zauważyła, że „źródło historyczne jest – centralną kategorią nauki historycznej i od jego zrozumienia w dużej mierze może zależeć wynik pracy historyka” (s. 265). Niestety za tym stwierdzeniem nie poszło właściwe ujęcie omawianego zagadnienia. To dobrze, że A. Kuligowska odnotowała, iż w historiografii anglosaskiej wyróżniane są źródła pierwotne (surowy materiał historyczny) i wtórne (oparte na nich prace), ale po co w podręcznikowym Wprowadzeniu przywoływać przebrzmiałe już i naukowo szkodliwe koncepcje postmodernistyczne, „wychodzące z założenia, że nie da się zasadniczo odróżnić źródła i opracowania historycznego, oba są bowiem traktowane jako rodzaj tekstu” (s. 261). Ten sposób myślenia o źródłach i literaturze przedmiotu był i jest obcy stosowanej u nas metodyce historycznej. Jaki sens ma zatem przywoływanie takich koncepcji, skoro nie jest to przegląd wszystkich istniejących stanowisk (brak choćby koncepcji źródła historycznego według G. Labudy)? Może powodem była zauważalna w tym rozdziale usilna chęć wpisania koncepcji źródła J. Topolskiego w anglosaską tradycję źródeł pierwotnych i wtórnych. Autorka zauważa wprawdzie, że wadą definicji poznańskiego metodologa jest brak rozróżnienia wspomnianych źródeł pierwotnych od wtórnych, ale stwierdza, że można tę kwestię doprecyzować, ograniczając jej zakres tylko do źródeł pierwotnych.

Spośród wielu różnych koncepcji źródła historycznego autorka wybrała właśnie propozycję J. Topolskiego (źródłem historycznym jest wszystko to, z czego historyk może czerpać informacje o przeszłości), uznając że wystarczy tylko jeśli kwantyfikikator („wszystko”) „zrozumiemy w znaczeniu całego materiału historycznego, podlegającego badaniu (w znaczeniu źródeł pierwotnych), wówczas definicją

¹³ Nie sposób zgodzić się ze stwierdzeniem, że teoria źródła historycznego nie cieszyła się w Polsce naukowym zainteresowaniem, skoro możemy odesłać tu przynajmniej do kilku istotnych – a nie wspomnianych – prac historyków: K.M. K o w a l s k i, Artefakty jako źródła poznania. Studium z teorii nauki historycznej, wyd. 2, Gdańsk 1996; t e n z e, Artefacts as Sources of Knowledge, Gdańsk 2013; E. S k i b i Ń s k i, Źródło jako rzecz, w: Ad fontes. O naturze źródła historycznego, Wrocław 2004, s. 83-88; E. S k i b i Ń s k i, P. S t r ó ż y k, Problematyka źródła historycznego w ujęciu Jerzego Topolskiego. Uwagi krytyczne, w: Stilo et animo. Prace historyczne ofiarowane Profesorowi Tomaszowi Jasińskiemu w 65. rocznicę urodzin, Poznań 2016, s. 561-578; D.A. S i k o r s k i, Tekst jako źródło archeologiczne sensu stricto, w: Gemma gemmarum. Studia dedykowane Profesor Hannie Kóćce-Krenz, Poznań 2017, s. 223-252; Źródło w humanistyce historycznej, red. E. Skibiński, P. Stróżyk, Poznań 2021 (zbiór studiów, który był pokłosiem konferencji naukowej pt. Pojęcie źródła historycznego w naukach historycznych, odbytej w Poznaniu w 2016 r.). Tematyka źródeł historycznych (także w wymiarze teoretycznym) jest regularnie podejmowana od 2015 r. na poznańskim Seminarium im. Brygidy Kürbis.

tą możemy się posługiwać zasadnie” (s. 263). Otóż nie – bez precyzyjnego określenia owego „całego materiału historycznego” nie sposób bowiem orzec, co może, a co na pewno nie może być źródłem historycznym. Ta pozornie wygodna otwartość sprawia – o czym już kiedyś pisałem – że logicznie w takiej „(nie)definicji doskonale zmieszczą się przecież: i średniowieczne, pergaminowe dokumenty, i zachowane dawne budowle, i wojenne opowiadanie świadka historii »wywołane« przez samego historyka, i subiektywnie postrzegana przez niego tradycja, i jakaś »zbiorowa« wiedza ogółu, i to, co za pośrednictwem Janiny Gęgoń powie nam o przeszłości ten czy inny wywołany duch, i senna wizja będąca udziałem samego badacza i jeszcze wiele innych »pretekstów do snucia narracji« w celu »przekonania odbiorcy«”¹⁴. Wiadomo, że wśród metodologów historii jest wielu zwolenników takiego „luźnego” podejścia do źródeł historycznych, ale to prosta droga do rozmywania badawczych procedur historycznych i podważania naukowego statusu dyscypliny. Czy zatem – pomimo istnienia krytycznych głosów – naprawdę chcemy historiografii wspartej na tak niejednoznacznie rozumianych źródłach historycznych i czy w tym duchu chcemy edukować studentów kierunków historycznych? Najwyższy już czas wziąć rozbrat z definicją źródła historycznego oraz innymi poglądami zaproponowanymi w tym zakresie przez J. Topolskiego, niepotrzebnie reanimowanymi przez metodologów z uporem godnym lepszej sprawy¹⁵.

Omawiając zagadnienie źródła historycznego, autorka powołała się na mój pogląd głoszący, że źródło historyczne zawsze ma fizykalną (materialną) stronę, która może być równocześnie (i zwykle jest) nośnikiem najróżniejszych danych¹⁶, ale błędnie z niego korzysta, stwierdzając: „każde źródło musi mieć jednak fizykalną podstawę, ponieważ bez niej historyk nie będzie mógł go wykorzystać” (s. 262-263). Takie stwierdzenie zakłada, że są jakieś źródła niematerialne, np. wspomnienia, które wymagają jednakże fizykalnej podstawy, aby można było z nich skorzystać: „przykładowo wspomnienia muszą być najpierw zarejestrowane, aby mogły zostać poddane dalszej procedurze badania” (s. 263). Otóż w moim rozumieniu relacje ustne, gesty, tradycja etc. w ogóle nie są źródłami historycznymi; stają się ich elementami (przekazami) dopiero po wspomnianej rejestracji. Różnica podejścia jest może subtelna, ale istotna (i zwłaszcza w podręczniku godna odnotowania).

Autorka przyjęła, że źródło nie istnieje bez historyka. Wskazała w ten sposób na relacyjny charakter źródła na gruncie nauki historycznej, realizujący się w następującej triadzie: przeszłość – źródło historyczne – historyk. To wskazanie jest właściwe, ale wynikające z niego ujęcie definicyjne (umieszczone w ramce) okazuje się ułomne. Stwierdzenie że „źródło historyczne jest zbiorem relacji, którego członami są: podstawa materialna źródła, historyk i przeszłość historyczna” (s. 263), sprowadza bowiem źródło historyczne – nie wiedzieć czemu – tylko do jego podstawy materialnej! A gdzie miejsce na ewentualne przekazy? Stawiając tak sprawę, należało też wyjaśnić, czym jest podstawa materialna tzw. źródeł cyfrowych? Co według

¹⁴ P. Stróżyk, Status źródła historycznego we współczesnych wypowiedziach historyków i metodologów historii, w: *Źródło w humanistyce* (jak w przyp. 13), s. 73.

¹⁵ Zob. E. Skibiński, P. Stróżyk, *Problematyka*.

¹⁶ P. Stróżyk, *Źródła ikonograficzne*, s. 71.

autorki jest materialną podstawą obiektów wytworzonych cyfrowo, które nigdy nie istniały w innej formie (*born digital*)? Takich wątpliwości omawiany rozdział nam nie wyjaśnia. Wspomnę tu jeszcze, że w kontekście omawiania kwestii źródeł historycznych zasmuca i zastanawia brak jakiegokolwiek wzmianki o nowoczesnym źródłoznawstwie historycznym, ukonstytuowanym niegdyś przez Brygidę Kürbis (jej nazwisko ani razu nie zagościło na kartach tego podręcznika)¹⁷.

Drugiemu fundamentalnemu pojęciu nauki historycznej – faktowi historycznemu – w ogóle nie poświęcono osobnego, a przecież koniecznego namysłu! W rozdziale Wydarzenie historyczne Tomasz Falkowski odniósł się wprawdzie do pojęcia faktu historycznego, ale wyraźnie uznał, że metodologicznie ważniejsze jest pojęcie wydarzenia historycznego. J. Topolski zwracał uwagę na to, że fakt historyczny bywa rozumiany dwojako – jako obiektywnie istniejący przedmiot badania historycznego (perspektywa ontologiczna) oraz jako ujęcie zdarzenia (rekonstrukcja) dokonane przez historyka w procesie badawczym (perspektywa epistemologiczna). W tym drugim ujęciu – dla rozróżnienia – posłużył się określeniem faktu historiograficznego. W stosunku do faktu historycznego J. Topolski zauważył, że „wszyscy na ogół zdają sobie sprawę z trudności eksplikacji tego terminu, jednakże nie decydują się go zastąpić innym”¹⁸, tymczasem T. Falkowski postanowił to zrobić. Fakt historyczny (u Topolskiego) zastąpił pojęciem wydarzenia historycznego, a fakt historiograficzny (u tegoż) pojęciem faktu historycznego. Nie poszły jednak za tym żadne istotne ustalenia i wskazania; odbiorcy podręcznika stali się zatem jedynie uczestnikami pustej żonglerki terminologicznej, która ma wszelkie znamiona sztuki dla sztuki. Oto bowiem w odniesieniu do wydarzenia historycznego T. Falkowski stwierdza, że „nie można właściwie stworzyć jakiejś zwięzłej definicji” (s. 277). Przywołując ujęcie Haydena White’a, wskazuje że wydarzeniem historycznym jest „dowolna realność, która zaszła w rzeczywistości (»jakiegokolwiek zajście«)”, która podlega historycznemu badaniu. Stwierdza jednak przy tym, że „trudno utrzymać propozycję, zgodnie z którą wydarzeniem historycznym jest »jakiegokolwiek zajście«, skoro w rzeczywistości, jak twierdzi przynajmniej część historyków, zachodzą nie tylko wydarzenia” (s. 277). Prowadzi to autora do konkluzji, że wszelkie definicje mogą „służyć jako dobry punkt wyjścia (ale nie dojścia) do głębszego zrozumienia złożoności analizowanego pojęcia” (s. 277). Nie ma jednak w omawianym rozdziale ani owej głębszej analizy przedstawionego pojęcia, ani próby jego precyzyjnego zdefiniowania, której oczekiwaliśmy właśnie od metodologa w podręczniku metodologii historii. Poza wymianę pojęć nie posunęliśmy się więc ani o krok do przodu, a zaproponowana zamiana wprowadziła tylko dodatkowy, niepotrzebny zamęt, którego nie dostrzegli redaktorzy tomu, niektórzy bowiem współautorzy Wprowadzenia nadal odwołują się do pojęć stosowanych przez J. Topolskiego (fakt historyczny – fakt historiograficzny). Jak ma się w tym zamęcie odnaleźć student, dla którego napisano omawianą książkę?

¹⁷ Zob. P. Stróżyk, Nowoczesne źródłoznawstwo historyczne, w: Wielka zmiana. Historia wobec wyzwań..., t. III, Warszawa-Lublin 2021, s. 390-403; Źródłoznawstwo historyczne Brygidy Kürbis. Teoria – praktyka – konteksty, red. E. Skibiński, P. Stróżyk, Poznań 2021 (w obydwu pracach zestawiona starsza literatura przedmiotu).

¹⁸ J. Topolski, Metodologia historii, wyd. 3, Warszawa 1984, s. 184.

Zastąpienie pojęcia faktu historycznego wydarzeniem historycznym skutkuje m.in. tym, że wydarzenie jest postrzegane tylko jako jeden z rodzajów ontologicznej rzeczywistości, obok np. ruchów cyklicznych (koniunktur), zjawisk długiego trwania, struktur historycznych, procesów historycznych etc. J. Topolski, zdając sobie sprawę z różnorodności faktów historycznych i procesu ich transformacji, rozważał niegdyś pojęcia „faktów historycznych – stanów” i „faktów historycznych – procesów”¹⁹, ale o tym głucho na stronach omawianego podręcznika. T. Falkowski wolał w tej kwestii odwołać się do Ferdynanda Braudela, co rozumiałe, zważywszy jego zainteresowania naukowe²⁰, ale nie wpłynęło to znacząco na uściślenie pojmowania wydarzeń historycznych („podstawowego budulca rzeczywistości dziejowej”, s. 282), „rozumianych jako krótkotrwałe fenomeny czy też zjawiska zachodzące w krótkim czasie (bitwy, rewolty, spotkania na szczycie itd.)” (s. 281). Autor nie wyjaśnił jednak, jak pojmuje ową krótkotrwałość. Czy np. wojna sześciopięcioletnia jest wydarzeniem historycznym? A wojna trzydziestoletnia, a wojna stuletnia? A czy „dziwna wojna” (*drôle de guerre* – *phoney war* – *Sitzkrieg*) to w ogóle wydarzenie historyczne? Zamiast tego otrzymaliśmy rozważania o „nowych ujęciach” wydarzeń historycznych, przekonujące nas (s. 283), że np. bitwa pod Bouvines w ujęciu Georges’a Duby’ego jest fenomenem, „który najpierw należy zrozumieć” (*sic!*). Jakże kojący jest dla szarego historyka fakt, że współcześni metodolodzy także doszli do przekonania, że przedmiot badania historycznego (zwany albo wydarzeniem historycznym, albo faktem historycznym) należy wprawdzie zrozumieć, a zrozumienie to rozwija się wraz z postępem metod badawczych. Ponieważ są też zjawiska, które tradycyjnie nie uchodzą za zdarzeniowe, konieczne okazało się wprowadzenie kolejnego pojęcia: „uzdarzeniowienia”, które jest rozszerzonym „sposobem pojęciowej rekonfiguracji kategorii wydarzenia historycznego” (s. 286). Jego przykładem „są próby potraktowania wypowiedzi z przeszłości jako swoistych wydarzeń historycznych, jako zdarzeń dyskursywnych” (s. 286). Nasuwa się pytanie, po co ta cała ekwilibrystyka pojęciowa, skoro wszystko to mieściło się w zwyczajowym pojęciu faktu historycznego, którym jest np. bitwa czy wojna, ale także owe „zdarzenia dyskursywne”, a nawet same źródła historyczne, do czego autor w ogóle się nie odniósł. Nie powinno to jednak dziwić czytelnika, koncepcja źródłoznawstwa historycznego (traktująca źródło historyczne jako fakt historyczny) nie jest bowiem przecież ani francuskiego, ani nawet anglosaskiego, ale niestety tylko polskiego pochodzenia. Nie ma więc znaczenia, że jest badawczo niezwykle inspirująca i obecna w nauce od kilkudziesięciu lat.

Wspomnijmy jeszcze, że kwestię faktu historycznego – w kontekście zagadnienia prawdy – poruszył też Krzysztof Zamorski. W jego rozważaniach mieści się on w schemacie: fakt dziejowy (wydarzenie, idea, proces) – fakt źródłowy (zapis zjawiska) – fakt historyczny (odczytany przez historyka fakt źródłowy) – fakt historiograficzny (przedstawiony przez historyka fakt historyczny). Takie ujęcie odwołuje się więc do koncepcji J. Pomorskiego, a nie do koncepcji J. Topolskiego, do której odwołali się inni współautorzy Wprowadzenia. K. Zamorski stwierdził, że „nie każde

¹⁹ Tamże, s. 191.

²⁰ T. Falkowski, *Myśl i zdarzenie. Pojęcie zdarzenia historycznego w historiografii francuskiej XX wieku*, Kraków 2013.

jednak przeszłe wydarzenie, zjawisko czy proces może być faktem historycznym. Nie będzie nim, jeśli wcześniej nie zostanie zapisane w źródle” (s. 450). Zapomniał jednak, że istnieją też fakty historyczne/historiograficzne, które są wynikiem rekonstrukcji historycznej. Nie mają one oparcia w bezpośrednich zapisach źródłowych. Jeśli np. w dokumencie z XII w. pojawił się pewien X jako świadek czynności prawnej, a historyk uznał go za osobę z krwi i kości, to może wówczas przyjąć istnienie przynajmniej dwóch faktów dziejowych (pozbawionych zapisu źródłowego) – narodzin i śmierci owego X-a. Zupełnie więc niezasadnie K. Zamorski odwołał się w tym kontekście do skądinąd słusznej zasady (s. 451), wypowiedzianej niegdyś przez francuskich uczonych: „nie ma źródeł, nie ma historii”²¹.

Nasi współcześni metodolodzy (im młodszy – tym bardziej) zapatrzeni są w osiągnięcia płynące z Zachodu (to dobrze), ale zapatrzeni ślepo, przez co nie zauważają tego wszystkiego, co proponuje im rodzime podwórko, jeśli jest to podwórko inne niż metodologiczne (to źle). Nie wiem, czy zgłaszane na tym podwórku propozycje są dla nich istotne lub choćby inspirujące, ale z pewnością powinny zostać przez nich przedyskutowane. Stosowana praktyka ignorowania skutkuje popolitym brakiem uwzględniania aktualnego stanu badań. Przez takie zaniechanie tracimy wszyscy. Metodolodzy zamknęli się w jakiejś okcydentalnej bańce i żadne próby jej przebiccia nie przynoszą rezultatów, czego najlepszym przykładem było wspólne spotkanie zorganizowane na początku 2022 r. przez Seminarium im. Brygidy Kürbis i Seminarium im. Jerzego Topolskiego na temat faktu historycznego²². Przedstawione przy tej okazji pisemne uwagi nie znalazły jakiegokolwiek oddźwięku (pozytywnego czy negatywnego) w omawianym Wprowadzeniu²³. Po cóż więc było to spotkanie, zainicjowane przez samych metodologów? Czy miało być ono jakimś rodzajem rytualnych „konsultacji środowiskowych” przed ukazaniem się podręcznika, których i tak ostatecznie nie weźmie się pod uwagę? W Aneksie do niniejszego tekstu załączam więc przygotowane wówczas uwagi w kwestii faktu historycznego, tak by nie umknęły z pola widzenia tym wszystkim, których interesuje teoria faktu historycznego, oraz tym, którzy wolą rozprawiać o wydarzeniu historycznym.

*

W omawianym podręczniku napotkać można prawdziwe kurioza. Treści wyłożone przez jedną z autorek zdradzają, że nie ma ona jakiegokolwiek pojęcia o rudymencjach badań historycznych, o których się teoretycznie wypowiada, wyliczając „tropy” myślenia naukowego w świadomości metodologicznej historyka. Jakże inaczej ocenić bowiem można przekonanie Ewy Solskiej (s. 64), że heurystyka oraz synteza, rozu-

²¹ Ch.V. Longlois, Ch. Seignobos, Wstęp do badań historycznych, tłum. W. Górkowa, Lwów 1912, s. 19.

²² Seminarium z udziałem Jana Pomorskiego, Edwarda Skibińskiego, Pawła Stróżyka oraz Aleksandry Kuligowskiej (jako prowadzącej), pt. Rozumienie faktu historycznego w metodologii i źródłoznawstwie historycznym, odbyło się online 20 I 2022 r.

²³ Stanowiska zostały wcześniej opublikowane na stronie Forum Badaczy Teorii, Historii Historiografii i Metodologii Historii: <<https://mthh.edu.pl/rozumienie-faktu-historycznego-w-metodologii-historii-i-zrodloznawstwie-historycznym-czwartek-20-styczen-2022-godz-1730-1930/aktualnosci>>.

miana jako „konstruowanie opowieści w narracji historycznej” (*sic!*), należą do trzech tradycyjnie określanych etapów krytyki źródeł! W takim ujęciu (abstrahując od jego bezsensu) uwidacznia się i to, że dla autorki badanie historyczne sprowadza się *de facto* do „wynajdywania” źródeł oraz ich analizy zewnętrznej i wewnętrznej, po których to zabiegach wystarczy już tylko stworzyć narrację historyczną. A gdzie interpretacja, wyjaśnianie, rekonstrukcja historyczna? Autorka przekonuje (s. 63), że określając przedmiot badań historycznych, powinniśmy się zastanowić nad tym, „co to znaczy, że przedmiotem historii jest nie tyle przeszłość, ile czas obserwowany poprzez teorie i przestrzenie ludzkiego doświadczenia, utrwalonego w źródłach historycznych” (*sic!*). Czy jednak sama dostatecznie przemyślała naukowy sens zamieszczonego zdania? Zadziwiające, ileż niedorzeczności zmieścić można w kilku słowach. Przypomnijmy więc, że przedmiotem historii (tej przednaukowej i tej naukowej) zawsze był i wciąż jest człowiek w przeszłości (ze wszystkimi aspektami jego złożonej egzystencji). Gdyby przedmiotem historii było to, o czym wspomniała autorka, to najpewniej nasza dyscyplina musiałaby się ulokować na jakimś pograniczu nauk ścisłych i humanistycznych. Zwróćmy też uwagę na jej zaskakujący pogląd (którego redaktorzy temu również nie zakwestionowali), iż konstruowanie przez historyka źródła historycznego (notabene jeśli w ogóle zaakceptujemy taki punkt widzenia) odbywa się „z wykorzystaniem metod i wyników badań nauk pomocniczych historii” (s. 63). Sprostujmy zatem: metody i wyniki badań nauk pomocniczych historii w żadnym razie nie służą do konstruowania źródeł historycznych, lecz do ich krytyki.

O naukowości badań historycznych w odniesieniu do ich podstaw metodologicznych decyduje, zdaniem autorki, kwestia źródeł i metody historycznej oraz syntezy historycznej. Co do źródeł i metody – zgoda, co do syntezy – nie. Powtórzmy: synteza (tak jak ją rozumie autorka) jest faktycznie postbadawczym etapem pracy historyka, nie może więc w zasadniczy sposób decydować o naukowości badań. Bez wątplenia decydują o niej także „falsyfikacyjne procedury sprawdzania”, ale uruchamiane – jak widzi to autorka – nie tylko w stosunku do „wypowiedzi”, ale przede wszystkim w stosunku do faktów historycznych oraz zastosowanych metod i procedur badawczych. Jeśli dodamy do tego, że pisząc o współczesnych formach wypowiedzi o historii, autorka wyraźnie przeciwstawia sobie: tradycyjnie wyodrębniane modele historii, nowe modele badań historycznych, nowe podejścia w nauce historii i niekonwencjonalne podejścia do nauki historii (tradycyjne *versus* nowe/niekonwencjonalne), to – abstrahując od braku językowej logiki tego ujęcia (model/podejście nie są przecież równoznaczne z formami wypowiedzi) – takie zestawienie ma w wymiarze „meta” oczywisty podtekst ideologiczny, za którym kryje się przeświadczenie, że tylko jakieś nowe modele i niekonwencjonalne podejścia nadają sens prowadzonym badaniom naukowym. Jest tak pod warunkiem, że owe nowinki zostaną najpierw gruntownie przedyskutowane i odpowiednio zaadaptowane do naukowej metodyki danej dyscypliny, że wykazana zostanie ich przydatność do prowadzonych w jej ramach badań. W innym razie implementacja owych modeli i podejść będzie bowiem tylko ich siłowym „wpychaniem” w zakres naukowej historii w celu jej rozmywania i metodycznego dewastowania od środka (co niestety już obserwujemy). Zrównywanie modeli badawczych z podejściami o zabarwieniu ideologicznymi (np. studiami gender), bez słowa jakiegokolwiek komentarza,

w rozdziale traktującym o specyfice i granicach myślenia naukowego nie wygląda dobrze. Podobnie jak postawione pytanie: „co jest celem badań historycznych: wyjaśnienie dla zrozumienia (znaczenie tego, co się działo i dzieje)?” (s. 64), skoro na poprzedniej stronie – w ramce – autorka wyłożyła, że zasadą myślenia naukowego jest zrozumienie. Czyżby więc miała jakieś wątpliwości (z którymi pozostawia studentów-odbiorców bez komentarza) wobec głoszonych przez siebie poglądów? Można tylko zapytać, dlaczego redaktorzy w ogóle dopuścili ten kompromitujący rozdział do druku.

*

Myślenie o uprawianiu naukowej historii nie może się obyć bez refleksji nad prawdą w historii. To zagadnienie podjął K. Zamorski, który przedstawił klasyczną (Arystoteles) i semantyczną (Alfred Tarski) definicję prawdy. Wspomniał też o jej definicjach nieklasycznych i omówił zagadnienie postprawdy, przywołując dwukrotnie zdanie (raz nawet wyróżniając je w ramce), którego użył amerykański publicysta Steve Tesich: „W zasadniczy sposób my, jako wolni ludzie, dobrowolnie zdecydowaliśmy, że chcemy żyć w jakimś świecie postprawdy” (s. 447-448). Wprawdzie pojęcie postprawdy K. Zamorski uznaje – za Małgorzatą Czarnocką – za znaczeniowo bliskie takim pojęciom, jak „fikcje, mity, kłamstwa, fantazmaty, opisy faktów alternatywnych, przesadę i fałsz oswojony” (s. 448), ale jednocześnie stwierdza, że „współcześnie postprawda powinna być widziana w kilku odsłonach”. Jak należy więc rozumieć – autor dopuszcza i przyjmuje jej obiektywne istnienie. Widzi w postprawdzie swoistą „reakcję na świat, którego nie dało się opisać w kategoriach postmodernizmu”, a „epokę” postprawdy jako „społeczny i kulturowy efekt oddziaływania współczesnego świata informacji; wyraz zagubienia człowieka w zdigitalizowanym uniwersum informacji; swoistą ciemną otchłań zdolną przyciągnąć uwagę człowieka” (s. 448).

W podręczniku, który przygotowany został z myślą o młodych ludziach podejmujących studia historyczne, oczekiwałbym jednak od autora i całego środowiska metodologów jasnego stanowiska aksjologicznego dotyczącego tej fundamentalnej kwestii, a nie tylko jej ogólnikowego omówienia. Klasyczna koncepcja prawdy jest jedną z podstaw naszej cywilizacji, wszelkim zatem próbom jej zniesienia należy się otwarcie przeciwstawiać. Pytam więc, dlaczego wyeksponowano we Wprowadzeniu zdanie, które nie zostało adekwatnie skomentowane? W perspektywie prowadzonych rozważań nad zagadnieniem prawdy należało najpierw orzec, czy w ogóle prezentowane zdanie jest prawdziwe. A nie jest. Nie dość, że S. Tesich uznał się (prawem kaduka) delegowany do wypowiedziania się za ogół, to jeszcze ukrył w tym zdaniu sugestię, że ów wybór dokonał się w jakiejś demokratycznej procedurze – dobrowolnie, przez ludzi wolnych („my, jako wolni ludzie, dobrowolnie zdecydowaliśmy”). Wyrażając zatem swój ewentualny sprzeciw, możemy narazić się na zarzut, że nie przynależymy do ludzi wolnych i negujemy procedury demokratyczne. Zdanie amerykańskiego publicysty jest więc przykładem ordynarnej manipulacji, którą należało otwarcie zdemaskować na kartach podręcznika, nie zaś potraktować bezkrytycznie, czyniąc z niego punkt wyjścia do dalszych rozważań. K. Zamorski wskazał na obecność zjawiska postprawdy w sferze historii publicznej, ale przecież głoszenie poglądów historycznych wbrew źródłom historycznym (negacja

Holokaustu) lub poglądów historycznych nie popartych źródłami historycznymi (idea Wielkiej Lechii) nie jest żadnym przejawem postprawdy, a przejawem zwyczajnego fałszu (kłamstwa) historycznego, który można ocenić w perspektywie klasycznego rozumienia pojęcia prawdy. Nie ma więc konieczności akceptowania pojęcia postprawdy na gruncie nauki historycznej i pozostawiania tej kwestii niedopowiedzianej na kartach podręcznika.

Rozumiem otwartość metodologów wobec różnych zgłaszanych poglądów, ale nie można ich powielać bezrefleksyjnie (zwłaszcza w podręczniku). Jeśli w ogóle uznamy bowiem istnienie postprawdy (w konsekwencji przyjmując, że każdy ma jakąś własną prawdę), to zawieszamy tym samym klasyczne jej pojmowanie. Ale jak wówczas będzie możliwa jakakolwiek wymiana poglądów – także tych dotyczących badania przeszłości? Skoro każdy może mieć własne racje, to nie będzie miało żadnego znaczenia jakiekolwiek ich uzgadnianie, dociekanie zaś tego, co o zgłaszanych racjach sądzą inni, stanie się całkowicie zbyteczne. Takie więc podejście, jakie dostrzegamy na kartach Wprowadzenia, które faktycznie nie rozróżnia prawdy od opinii, niesie ze sobą niebezpieczne konsekwencje ideologiczne (uświadamiane lub nie przez metodologów), które doprowadzić mogą wprost do destrukcji naukowej historii. K. Zamorski nie zauważył zapewne, że sam omawiany podręcznik tworzy *en bloc* warunki sprzyjające wzrastaniu „postprawdy”. Z pewnością dobrze się jej przysłużył brak przemyślanej definicji źródła historycznego, brak jednoznacznego rozumienia pojęcia faktu historycznego, brak jednolitych ujęć przedstawianych zagadnień, hołdowanie relatywizmowi i uleganie modom wszelakich „zwrotów”, konsekwentne wypieranie z refleksji metodologicznej kwestii metodyki historycznej etc. Jak sądzę, po lekturze Wprowadzenia studentowi łatwo będzie uwierzyć w istnienie i przydatność „postprawdy”.

W swoim rozdziale K. Zamorski przedstawił też zagadnienie prawdy faktu historycznego i prawdy narracji historycznej, stwierdzając, że „problem prawdy historycznej wykracza poza klasyczną jej definicję. Dzieje się tak, bowiem historyk musi swój sąd uzgodnić nie tylko ze źródłem, ale i z sądami innych historyków, wyrażonymi w różnym czasie, uzyskanymi na podstawie badań prowadzonych różnymi metodami i wynikającymi z przyjęcia odmiennych teorii naukowych. Z racji cech języka historycznego prawdę w historii nie zawsze da się ująć w ramach klasycznej definicji prawdy. Coraz większe prawo funkcjonowania zyskują zatem nieklasyczne definicje prawdy” (s. 451-452). Niewątpliwie dochodzenie do prawdy historycznej jest procesem długim i trudnym, a niekiedy niemożliwym do zwieńczenia (mniej lub bardziej zbliżamy się tylko do niej). Prawda historyczna pozostaje jednak celem historycznych badań, chociaż historycy nie zawsze ją osiągają. To jednak nie wymaga wcale automatycznego porzucenia klasycznej koncepcji prawdy, a wszelkie niedoskonałości języka historycznego (zwłaszcza jego metaforyczność) nie usprawiedliwiają sięgania po nieklasyczne definicje prawdy, nie są one bowiem wcale remedium na przywołane tu bóleczki. Wspomnijmy również, że historyk uzgadnia swoje sądy wobec źródeł historycznych (gdyż to one są podstawą jego działań), kwestie zaś pomiędzy historykiem a sądami innych historyków są wtórne, a owo uzgodnienie jest zupełnie innego rodzaju. Poza tym zauważmy, że prawdy historycznej K. Zamorski upatruje tylko w prawdzie faktu historycznego i w prawdzie narracji historycznej,

zupełnie pomijając jeszcze jeden jej istotny aspekt: prawdę stosowanej procedury historycznej. To właśnie metodyka historyczna (wraz z prawdą źródeł i faktów historycznych) w realnym wymiarze współdecyduje o prawdzie badania historycznego (narracja jest tylko postbadawczym etapem pracy historyka).

*

Ostatnia część podręcznika poświęcona została Metodologicznym problemom subdyscyplin historycznych, ale zwróćmy tu uwagę na określony dobór owych subdyscyplin – przede wszystkim takich, które uchodzą za nowatorskie, a więc „historii wizualnej”, „historii publicznej” czy „historii cyfrowej” (zob. s. 65). W podręczniku nie ma omówienia metodologicznych problemów historii politycznej, społecznej, gospodarczej, kultury czy choćby wojskowości, czyżby więc inne subdyscypliny historii nie wymagały takiej refleksji? A może redaktorzy Wprowadzenia uznali, że wszystko zostało już w tym zakresie powiedziane? Czy ukrytym celem była chęć przekonania studenta, że liczy się tylko „nowinkarstwo” metodologiczne? Taki dobór subdyscyplin (wykluczający z rozważań podręcznikowych większość z nich) ma wyraźny wymiar metodo-*ideo*-logiczny, tym bardziej że jego zasadność w ogóle jest mocno wątpliwa. Zobaczmy zatem, co wynieść mogą studenci z przedstawionych rozważań.

„Historia wizualna”, według Anny Ziębińskiej-Witek i Piotra Witka, jest dyscypliną naukową i jednym z paradygmatów lub modeli nauki historycznej, a także metanauką, która ma swoje reguły sterujące, przedmiot badania, założenia teoriopoznawcze oraz metodologię badań (s. 464)²⁴. Jej przedmiotem są „kultury wizualne w przeszłości”, czyli – pomijając to niezwykle wytworne określenie, które jest jednak przejawem pustostłwia metodologicznego – obrazy w historii i historia w obrazach. Autorzy wskazali, że obrazy w kontekście rozważań nad okolicznościami ich powstania i funkcjonowaniem sprowadzane są przez historyków przede wszystkim do roli źródła historycznego, nie wspominając jednak przy tym, że przez niektórych historyków traktowane są wyłącznie jako przekazy historyczne (nie: źródła historyczne). Ani jednym słowem nie informują także potencjalnego odbiorcy, że przedmiot badań historii wizualnej pokrywa się w wielu aspektach z przedmiotem badań ikonografii historycznej, jednej z nauk pomocniczych historii, która przecież – w ujęciu historiograficznym – deklaruje i prowadzi badania nad dawnymi społecznymi systemami komunikacji obrazowej²⁵. Czy zatem jest to przejaw metodologicznego zawłaszczania czy raczej kompromitującej niewiedzy w tym zakresie? Sądząc po zawartości rozdziału, ta ostatnia odegrała tu pewną rolę. Oto bowiem w jednej z ramek (treści szczególnie wyeksponowane) możemy przeczytać, że „we współczesnej kulturze obrazy są kulturowymi nomadami (wędrowcami po mediach) bez konkretnego miejsca i jednoznacznego usytuowania w jakimś konkretnym medialnym i kulturowym kontekście. Owe konteksty są płynne, znajdują się w ciągłym ruchu. Obrazy

²⁴ Precyzyjniej i bez zbędnego filozoficznego zadęcia ujęła tę kwestię D. Skotarczak, *Historia wizualna*, Poznań 2012, s. 188, której definicję – szczęśliwie – przytoczono w przyp. 2.

²⁵ K.M. Kowalski, *Polskie źródła ikonograficzne XVII wieku. Analiza metodologiczna*, Warszawa-Poznań 1988; Z. Piech, *Czy ikonografia historyczna powinna być nauką pomocniczą historii?* w: *Tradycje i perspektywy nauk pomocniczych historii w Polsce*, Kraków 1995, s. 119-141; P. Stróżyk, *Źródła ikonograficzne*, s. 23-51 (tam dalsza literatura przedmiotu).

poddawane różnorodnym procedurom przeformatowania wędrują po różnych mediach (obraz malarski do fotografii, fotografia do czasopisma, filmu kinowego czy internetu, film kinowy do telewizji, telewizja do internetu itd.), co oznacza, że zmienia się ich status, odbiór, sposób oddziaływania, znaczenie” (s. 473). To wszystko prawda, ale koniecznie należy uświadomić autorom, a i potencjalnym odbiorcom tych treści, że także w dawnych kulturach obrazy wędrowały po różnych mediach, i choć konteksty kulturowe nie były aż tak płynne i dynamiczne jak współcześnie, to jednak także zmienne, a to oznacza, że także w przypadku dawnych obrazów zmieniał się ich status, odbiór, sposób oddziaływania i znaczenie.

W ogóle zauważyć należy, że choć historia wizualna nie określa chronologicznych ram swoich badań, to wyraźnie koncentruje się na zagadnieniach współczesnych. Interesuje się zwłaszcza wykorzystywaniem obrazów jako środków do „wytwarzania wiedzy o przeszłości” (s. 465; np. wideonotacje, skanowanie 3D, minografia, termografia, rekonstrukcja wyglądu postaci²⁶ etc.) oraz „koncentruje się na badaniu (audio)wizualnych i wizualnych narracji historycznych – przedstawień przeszłości na przykład w malarstwie, muzeach, kinie, telewizji, internecie” (s. 470). W takim ujęciu uważa się za metanaukę, dysponuje bowiem jakąś własną metodologią (raczej: metodyką), która „ze względu na transdyscyplinarny charakter dyscypliny oraz multimodalność medialną (audio)wizualnych przekazów historycznych ma charakter eklektyczny” (s. 475). Nie komentując strony językowej tego zdania, wypada zapytać o deklarowaną eklektyczność. Jej zakres ujawnia tekst w ramce: „historia wizualna jest akademicką praktyką badawczą, którą charakteryzuje transdyscyplinarność. Oznacza to, że w różnym zakresie kooperuje z takimi dyscyplinami, jak: historia sztuki, medioznawstwo, filmoznawstwo, kulturoznawstwo, muzeologia, *visual studies*, obrazoznawstwo, estetyka, semiologia, nauki o komunikowaniu, *sound studies*, kognitywistyka, neuronauka, humanistyka cyfrowa, fizyka, informatyka, socjologia wizualna, antropologia wizualna. Wchodząc w interakcje z wymienionymi dyscyplinami, czerpie z nich inspiracje w zakresie technologii, teorii poznania i metodologii” (s. 478).

Czerpie to, jak rozumiem, świadomie – a więc po dogłębnym poznaniu i zrozumieniu technologii, teorii poznania i metodologii każdej z wymienionych dyscyplin – korzysta z ich dorobku, każdorazowo przystosowując zapożyczone elementy do potrzeb i możliwości warsztatu historyka historii wizualnej (subdyscypliny nauki historycznej). Jestem pełen podziwu dla uczonych horyzontów deklarowanych przez autorów, ale powątpiewam, co do realnej możliwości gruntownego (nie: naskórko-

²⁶ Zauważmy tu, że odtwarzanie wyglądu postaci historycznych na podstawie zachowanych rzeźb i wizerunków na monetach nie jest żadną rekonstrukcją. To tylko „foto-urealistycznienie” (uplastycznienie) przekazów obrazowych, które wcale nie musiały „portretować” przedstawianych postaci. O tym, czy tak było, decydują skomplikowane badania analityczne. Skąd np. programatorzy Artbreedera czy Photoshopa wiedzą, że „rekonstruowana” głowa rzymskiego cesarza powinna mieć szpakowate włosy i takiż zarost? Może jeden czy drugi cesarz rzymski – choć zaawansowany wiekiem – wcale nie był posiwiał, a może posiwiał, ale farbował włosy? Czy dokonując owych przedstawionych „rekonstrukcji” (s. 469), w ogóle brano to pod uwagę? Rekonstrukcjami wyglądu postaci będą za to na pewno te, które odtwarzają naukowymi metodami wygląd twarzy dawnych ludzi na podstawie ich zachowanych czaszek, chociaż i one – w zakresie włosów czy zarostu – mogą być traktowane tylko alternatywnie.

wego) naukowego wyeksplorowania i przyswojenia na potrzeby subdyscypliny tak rozległych obszarów badawczych. Pozostaje zatem pytanie: ile jest w tym wszystkim rzeczywistych badań historycznych i jaka jest w prezentowanym ujęciu warsztatowa samodzielność badacza? Jeśli historyk ma tylko wtórnie i eklektycznie stosować (powielać) takie działania (zwane przez autorów strategiami badawczymi), które uczeni z zakresu innych dziedzin stosują w sposób daleko bardziej przemyślany, to naukowa zasadność takiej drogi wydaje mi się nader wątpliwa. W jakim celu historyk ma np. prowadzić jakościowe i ilościowe badania widowni historycznych przekazów (za pomocą wywiadów i ankiet)? Skoro rzecz wyraźnie dotyczy terażniejszości, to interesować może przede wszystkim socjologów, medioznawców czy nawet reklamodawców. To oczywiście w ogóle interesujące zagadnienie, ale odciąga historyka od badania istotnych problemów historycznych, rozmywając jego możliwości w morzu działań niekoniecznych. Wszystkie podejmowane działania naukowe wymagają niewątpliwie zestawu określonych kompetencji, które zdobywa się w toku wieloletnich studiów. Autorzy rozdziału uważają jednak (ujawniając tym właśnie swoje „naskórkowe” podejście do zagadnienia historii wizualnej), że wystarczy lektura kilku stron z Wprowadzenia, aby student (do którego skierowane zostały zagadnienia dyskusyjne) mógł zbadać źródło historyczne „z użyciem analizy kompozycyjnej, analizy dyskursu, analizy semiotycznej lub innej” (s. 489).

Ale jeśli badacze rzeczywiście uważają, że historia wizualna wymaga postulowanego transdyscyplinarnego eklektyzmu, a przy tym wymaga też własnej metodologii (która – jak należy rozumieć – nie mieści się w ramach ogólnej metodologii badań historycznych), to należy ją bez wątpienia uznać za całkowicie autonomiczną dziedzinę badawczą („akademicką praktykę badawczą”, s. 478). Wówczas jednak – konsekwentnie – zapytać musimy o powody jej obecności we Wprowadzeniu do metodologii historii pod dezorientującym szyldem subdyscypliny nauki historycznej.

Wszystko to podane zostało koszmarem polszczyzną (metodologiczną nowomową²⁷), która przejawia się takimi zdaniami, jak choćby to: „do badania filmowych narracji historyk używa szerokiego spektrum kooperujących ze sobą strategii badawczych” [czyli: stosuje różne metody] (s. 488), albo: „historyczna hermeneutyka przekazów (audio)wizualnych zakłada zatem, że ich znaczenie jest w nich zakodowane i należy je rozszyfrować w akcie interakcji interpretacyjnej odwołującej się do kompetencji kulturowej typowej dla epoki/kontekstu powstania owego aktu” [czyli: należy je wyjaśnić w kontekście historycznym] (s. 477). Takie językowe „strategie” wynikać mogą chyba tylko z chęci przekonania odbiorców (i siebie samego), że oto zetknęli się oni z wyrafinowanymi treściami i poglądami wyraźnie kierowanymi

²⁷ Nie zgadzam się ze stanowiskiem J. Pomorskiego, który o języku metodologicznym, „jakim posługują się w swych analizach badacze historiografii i teoretycy historii”, napisał, że „jest to język dość trudny i hermetyczny, co wynika z tego, że ta subdyscyplina historyczna – ceniąc sobie precyzję wypowiedzi – nie posługuje się raczej językiem potocznym, jakim zwyczajowo operują w narracjach historycy, lecz tworzy swój własny” (s. 24). Po pierwsze, nie sądzę, aby język narracji historycznych uznać można za potoczny, a po drugie, dlaczego to precyzja wypowiedzi, poza użyciem pojęć dziedzinowych, musi się objawiać trudnym i hermetycznym językiem? Nauki humanistyczne powinny mieć na uwadze komunikatywność stosowanego języka, nie zapominając także o jego walorach estetycznych.

do wtajemniczonych, które wymagają znajomości i stosowania jakiegoś hermetycznego języka. Tymczasem zdarza się, że w niektórych zdaniach w ogóle trudno doszukać się jakiegokolwiek istotnego sensu: „na pytanie, czym jest film fabularny, odpowiada, że jest to jedna z filmowych form modelowania uwarunkowanego kulturowo społecznego doświadczenia audiowizualnego” (s. 484). Stosowanie podobnej nowomowy jest zresztą – dodajmy – ogólną przypadłością metodologów (widoczną w wielu partiach podręcznika), a nie tylko autorów omawianego rozdziału.

Jako subdyscyplina historyczna zaprezentowana została w podręczniku także „historia publiczna” (*public history*), omówiona przez Martę Kurkowską-Budzan i Joannę Wojdon. Już na samym początku rozdziału autorki przyznały, że „historia publiczna – wymyka się jak dotąd uniwersalnej definicji” (s. 490), a Międzynarodowa Federacja Historii Publicznej „programowo poniechała prób jej stworzenia, uznając prymat różnorodności praktyk w odniesieniu do lokalnych uwarunkowań i specyfik” (s. 490); mamy tu interesujący przykład modelowania badań przez jakąś organizację, w sam raz na rozważania dla metodologów historii. Na pewno nie mamy zatem do czynienia z osobną nauką, skoro programowo nie chce się ona określić, a do tego nie dysponuje własną metodologią, „lecz w zależności od potrzeb korzysta z osiągnięć metodologicznych innych nauk, w tym także historii” (s. 496). Po co więc prezentować studentom nauk historycznych ową „historię publiczną” – i to pod szyldem subdyscypliny nauki historycznej? Czy aby nie po to, aby ideologiczne rozmontowywać tę ostatnią? *Public history* – jak wskazują autorki – narodziła się w latach sześćdziesiątych XX w. w związku z zachodzącymi zmianami społecznymi. „Coraz głośniej artykułowane w społeczeństwie postulaty równości i podmiotowości nabrały wtedy dodatkowych znaczeń w kontekście procesu dekolonizacji, co wraz z rozwojem nowych ruchów lewicowych i feministycznych zapoczątkowało pod hasłem: »Give voice to the voiceless« (»Dać głos tym, którzy byli go pozbawienia«), także demokratyzację praktyki historiograficznej” (s. 492).

To, że każdy może opowiadać o przeszłości – to jedno (nie jest to notabene zjawisko historycznie nowe), to zaś, że historycy powinni badać takie zjawiska – to drugie, ale to, że w ramach nauki historycznej zrównujemy wypowiedzi amatorskie i naukowe (deprecjonując w ten sposób te ostatnie) – to działania wyraźnie podszyte ideologicznie. Świadczy o tym kwestia postrzegania tego, kim są historycy publiczni: czy wykształconymi historykami akademickimi, specjalistami w zakresie wiedzy o przeszłości i badań nad nią, „którzy starają się podzielić tą wiedzą z laikami”, czy są nimi wszyscy, którzy przyczyniają się „do powstawania przekazów o przeszłości docierających do sfery publicznej” (s. 501). Autorki zadeklarowały przyjęcie tego drugiego stanowiska. Jednak zrównywanie uczonych historyków ze wszystkimi miłośnikami i popularyzatorami historii jest całkowitym nieporozumieniem i drogą na manowce, prowadzi bowiem do odejścia od krytycznego badania przeszłości, a także popularyzowania bzdurnej wiary w emancypacyjną rolę takiej bezkrytycznej historii oraz jej rzekomy wpływ na demokratyzację życia społecznego i na budowanie wspólnot. A to ostatnie robić się powinno na solidnych, naukowych podstawach, inaczej bowiem szlachetna utopia szybko zamieni się realny chaos (czego zresztą już doświadczamy). Ileż to razy akademicy historycy zmuszeni są do „odkręcania” różnych historycznych „rewelacji”, wypowiedianych publicznie w dobrej lub

złej wierze. W perspektywie zaś wszechobecnych medialnych wojen hybrydowych propagowanie naukowości „publicznej historii” zakrawa ze strony metodologów historii na elementarny brak wyobraźni. Zajmujemy się zatem profesjonalnie – czyli stosując naukową metodykę badań historycznych – zjawiskami z zakresu zainteresowań historii publicznej, ale nie powołujemy zaraz subdyscypliny, która będzie furtką dla tych wszystkich, którzy swoją aktywność „historyka” będą prowadzili z pominięciem metodyki historycznej. To anarchia naukowa i działania wymierzone przeciw naukowej historii. Od metodologów oczekiwałbym, aby rejestrując różne zjawiska, jasno oddzielali te, które nie mają charakteru naukowego, od tych profesjonalnych, i aby jasno nauczali tego studentów kierunków historycznych. Jeśli tego nie robią, to albo sami nie rozumieją dyscypliny, w której działają, albo świadomie działają na jej niekorzyść. Obecność rozdziału o „historii publicznej” jasno pokazuje, że Wprowadzenie, ze swoimi treściami, jest podręcznikiem chybionym i zabarwionym metodo-*ideo*-logicznie.

Równie mętnie przedstawia się kolejna subdyscyplina: „historia cyfrowa”. Gdyby ktoś myślał, że ma do czynienia z jakąś nowością, to autorzy rozdziału – Wiktor Werner i Piotr Witek – pośpieszyli z wyjaśnieniem, że epoka cyfrowa rozpoczęła się „prawie sto lat przed fizycznym powstaniem komputerów” (s. 507). Po takiej – cokolwiek wątpliwej – legitymizacji dowiadujemy się, że historia cyfrowa jest dziedziną cyfrowej humanistyki (dyscypliną lub paradygmatem). „Już sama nazwa wskazuje nam, co jest głównym czynnikiem określającym specyfikę obu obszarów badawczych, w których istotnym komponentem jest stosowanie metod komputerowych i źródeł cyfrowych” (s. 505). Autorzy nie pokusili się jednak, aby precyzyjnie wyjaśnić czytelnikowi, czym są owe „metody” komputerowe (zapewne chodziło im o narzędzia/techniki komputerowe – a to przecież nie to samo) i czym są „źródła cyfrowe”. To zaś powinno być podstawą wszelkich dywagacji w tym zakresie. Z rozważań dowiadujemy się tylko tyle, że przedmiotem badań historii cyfrowej są wytwory kultury cyfrowej. Dzielą się one (s. 508) na dwa rodzaje: *born-digital data* oraz *digitized data (reborn-digital data)*²⁸. Te „cyfrowe artefakty, które zostaną przez historyków uznane za wartościowe poznawczo, zyskują status cyfrowych źródeł historycznych. Mogą to być e-maile, posty w mediach społecznościowych (Facebook, Instagram), produkcje wideo w serwisach streamingowych takich jak na przykład YouTube, cyfrowe archiwa, strony www” (s. 509)²⁹. Okazuje się więc, a głoszą to metodolodzy historii, że wytwory kultury cyfrowej to artefakty! Zalecić można autorom tylko uważną lekturę teoretycznego studium Krzysztofa Macieja Kowalskiego³⁰ i odpowiedzialne stosowanie właściwej terminologii dziedzinowej, nie jesteśmy bowiem na gruncie psychologii, gdzie artefaktem bywa nazywany sztuczny twór jakiejś metody działania, nieistniejący realnie. Poza tym widoczny

²⁸ W rozdziale Teoria źródła historycznego we współczesnej refleksji metodologicznej (s. 273), przyjęto natomiast podział mediów cyfrowych na trzy grupy: *digitised*; *born digital* oraz *reborn digital*. Znow więc nie uzgodniono w gronie autorów wykładanych treści.

²⁹ W dalszej partii tekstu wymienione zostały także inne cyfrowe artefakty: „portale historyczne, kanały historyczne na YouTube, sieciowe gry wideo, strony www prowadzone przez akademickie centra historii cyfrowej, repozytoria historyczne, cyfrowe archiwa itd.” (s. 509).

³⁰ K.M. K o w a l s k i, Artefakty.

jest tu całkowity brak podstawowej refleksji teoretycznej w zakresie źródeł historycznych – można bowiem twierdzić (np. wspierając się poglądami J. Topolskiego na źródło historyczne), że e-mail czy post są źródłami cyfrowymi, ale dlaczego mają nimi być cyfrowe archiwa i repozytoria historyczne? Tak jak „analogowe” archiwum czy muzeum nie jest źródłem historycznym, tylko miejscem ich przechowywania, tak nie są nimi te cyfrowe. Autorzy rozdziału nie dość, że nie rozróżniają artefaktów od przekazów, to nie rozróżniają też źródeł od ich zbiorów, ale za to deklarują chęć reflektowania nad używaniem historii w sieci i chęć bycia „na wzór historii historiografii czymś w rodzaju metarefleksji – cyfrową historią cyfrowej historiografii” (s. 509). Zanim jednak zacznie się biegać, warto nauczyć się dobrze chodzić.

Brak konsekwencji i precyzji wywodów jest w tym rozdziale wszechobecny. W podrozdziale o metodach i strategiach badawczych możemy przeczytać, że „wiele problemów badawczych analizy tekstu – – można zrealizować już za pomocą podstawowej analizy tekstu. Bardziej zaawansowane metody mogą wszelako powiedzieć nam znacznie więcej, co jednak wiąże się również z większym ryzykiem dostarczenia fałszywych informacji” (s. 512). Jeśli zaawansowane metody analizy są tak ryzykowne, to na czym właściwie polega ich zaawansowanie? Pozostawiam na marginesie to, że analiza nie dostarcza informacji, lecz prowadzi badacza do wniosków, zestawianie informacji zaś nie jest równoznaczne z ich analizą. „Komputerowa analiza” nie jest zatem żadną samodzielną metodą historyczną, a tylko narzędziem pomocnym w prowadzeniu analiz przez historyka, co zresztą autorzy nieopatrznie sami przyznali, omawiając tzw. analizę sentymentu (s. 512): „sposób jest prosty i często zawodny (wymaga ludzkiego nadzoru)”. Autorzy stawiają też pojęciowy znak równości między wizualizacją (sposobem ukazania) a analizą faktów, co jest oczywistym nieporozumieniem. Zaprezentowany na przykład wykres (s. 516, ryc. 3) ukazujący korelację szeregów czasowych dla częstotliwości wejść na strony „historia Rosji” i „historia ZSRR” Wikipedii nie wyjaśnia nam choćby tego, kto i po co wchodził na te strony? Wykres zestawia więc tylko pewne fakty, ale nie dokonuje ich analizy. Ta należy do historyka.

Lektura tego rozdziału i poczynione przez autorów deklaracje („historia cyfrowa ma własny przedmiot badań, założenia teoriopoznawcze oraz metodologię badań”, s. 506) wskazują na przemożną chęć wykreowania nowej subdyscypliny historii, ale – jeśli ma ona własną metodologię badań – to dlaczego ma być traktowana jako subdyscyplina historii? Wszak wszystkie obszary badań historycznych podlegać powinny wspólnym założeniom ogólnym, a więc wspólnej metodologii historii (nawet przy historiograficznie różnym ujmowaniu tych kwestii). Lepiej więc posługiwać się pojęciem własnych metod badawczych (nie: metodologii), albo – konsekwentnie – wyłączyć subdyscyplinę z nauk historycznych. Nie ma bowiem żadnej osobnej historii cyfrowej, wizualnej czy pisanej – jest po prostu historia, która eksploruje różne obszary przeszłości, posługuje się różnymi typami źródeł historycznych i stosuje różne metody, w zależności od tego, co akurat poddaje badaniu. Mam nieodparte wrażenie, że owe usilne różnicowanie (własne założenia teoriopoznawcze, własna metodologia etc.) służyć ma tylko ukryciu własnej mizerności badawczej na polu nauk historycznych. Ktoś bowiem, kto zechce sprawdzić osiągnięcia w ramach deklarowanej subdyscypliny, spotka się natychmiast z zarzutem, że nie zna owych

założeń i metodologii, a zapewne i paradygmatów, które sterują ową subdyscypliną, a które – co obserwujemy na gruncie metodologii historii w kilku ostatnich dekadach – zmienne są jak ubrania na wybiegach mody. Lektura tego rozdziału w żadnym razie nie pozwoli studentom właściwie zrozumieć istotnej przecież obecności/uczestnictwa przekazów cyfrowych w badaniach historycznych, ale nie należy się temu dziwić, skoro nawet sami autorzy nie poukładali sobie dostatecznie tych kwestii, o czym niestety świadczy też jedno z zagadnień zaproponowanych studentom do przedyskutowania. Mieliby oni opisać (*sic!*), „jakię mogą być dalekosiężne skutki cyfryzacji” (s. 523). Toż to realne zaproszenie do tworzenia narracji dywinacyjnych! Przyszłość – owszem – jest ważna dla nas wszystkich, ale jednak w dziedzinie nauk historycznych koncentrować się powinniśmy na przeszłości. Ale skoro w zadekretowanej przez współautorów podręcznika wizji źródła historycznego mieści się także pośrednictwo Janiny Gęgoń, to może należy zachęcać przyszłych historyków i do takich – niekonwencjonalnych – działań?

*

Lektura Wprowadzenia do metodologii historii jest nader przygnębiająca. Jeżeli ktoś miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz ich mieć nie może – król jest nagi. Podręcznik wskazuje na głęboki kryzys, w jakim znajduje się metodologia historii w Polsce, ale tym razem poprzez dzieło zbiorowe i o fundamentalnym znaczeniu. Mamy wprawdzie wielu aktywnych i bardzo utytułowanych metodologów, ale nie doczekaliśmy się podręcznika do metodologii historii z prawdziwego zdarzenia. Nasi metodolodzy wyraźnie zmarnowali więc ostatnie trzy-cztery dekady na żeglowaniu po dalekich morzach, pełnych morskich węży, o których tak lubią się rozpisywać. Te nieuzasadnione, serwilistyczne zachwyty nad nowinkami intelektualnymi płynącymi z Zachodu, to implementowanie najróżniejszych pomysłów bez należytego przedyskutowania ich przydatności dla nauki historycznej, to ciągle ogłaszanie następujących po sobie „zwrotów” naukowych, te nagminne zmiany perspektyw i paradygmatów badawczych, to kierowanie się modami w badaniach naukowych przy jednoczesnym braku znajomości i całkowitym lekceważeniu tego wszystkiego, co dyskutowane jest na rodzimym podwórku – to wszystko na pewno nie przysłużyło się ani samej metodologii historii, ani napisanemu Wprowadzeniu.

Zamiast długo oczekiwanego, rzeczowego podręcznika, który umiejętnie wprowadziłby studentów kierunków historycznych w istotne, a przecież niełatwe do opanowania zagadnienia metodologiczne, otrzymaliśmy: zbiór niespójnych wzajemnie wypowiedzi, które nie zostały uzgodnione nawet w zakresie elementarnej terminologii dziedzinowej, a także dyskwalifikujące przykłady braku znajomości właściwego warsztatu naukowego. A wszystko to jeszcze z wykorzystaniem (stanowczo zbyt częstym) metodologicznej nowomowy. Wprowadzenie wyraźnie preferuje taką koncepcję nauk historycznych, w których nie ma stałych punktów odniesienia, wszystko jest względne, relatywne i płynne, transgraniczne i międziedziedzinowe, gdzie praktycznie nie obowiązują żadne jasno wyłożone reguły, każdy bowiem może je dobrać i stworzyć *ad hoc*. W zaprezentowanej wizji metodologii efekty historycznych badań naukowych zrównane zostały z każdą możliwą wypowiedzią o przeszłości, a najważniejszym problemem staje się „namysł” nad „reprezentacjami przeszłości”,

niezależnie od tego, kto jest ich twórcą. Poszukiwanie naukowej prawdy o badanej przeszłości traci tym samym jakąś głębszą rację bytu.

Takie ujmowanie kwestii podstawowych – co należy tu jasno powiedzieć – jest oczywistym działaniem na szkodę naukowej historii i ma charakter głęboko ideologiczny. Podważa i rozmywa istniejące procedury naukowe, nie proponując niczego w zamian, co w dalszej perspektywie skutkować może upadkiem naukowej historii i cofnięciem refleksji o przeszłości do czasów przedkrytycznych. Najgorsze zaś, że metodolodzy stworzyli podręcznik, który będzie dla nich wygodnym narzędziem pomocnym w kształtowaniu zideologizowanego i historycznie bezkrytycznego człowieka przyszłości (*homo historicus novus*). Znoszenie lub relatywizowanie w nim wszelkich istotnych punktów odniesienia (np. klasycznego ujęcia prawdy, naukowych granic dyscypliny, pojęcia źródła czy faktu historycznego), dzięki którym studenci kierunków historycznych mogliby budować sobie stabilny i krytyczny obraz zgłębianej dyscypliny oraz otaczającego ich świata, szeroko otwiera przed nimi wyłącznie drogę donikąd. Współczesna metodologia jest niestety ostoją działań ahistorycznych i wygodnym usprawiedliwieniem dla wszelkiego rodzaju niby-historycznych dociekań, które z regułami badawczymi dyscypliny mają niewiele wspólnego. *Metodo-ideo-logia* historii obliczona jest na zdekomponowanie naukowej dyscypliny i wykształcenie przyszłego nowego „historyka”, dla którego liczyć się będą przede wszystkim kryteria ideologiczne, a nie naukowe (choć te pierwsze będą się ukrywać pod szyldem tych drugich).

Od podręcznika wprowadzającego do metodologii historii oczekiwałem, że jego zawartość została wcześniej gruntownie przemyślana i przedyskutowana, że zostały uzgodnione wszelkie rozbieżne kwestie pomiędzy autorami, a treści zostaną jasno wyłożone. Tymczasem żadne z tych oczekiwań nie zostało spełnione. Wszystkich studentów nauk historycznych, do których kierowane jest Wprowadzenie, należy więc wyraźnie przestrzec, że jeśli nie wykształcili sobie jeszcze zaawansowanych mechanizmów krytycznego myślenia, to może to być dla nich podręcznik szkodliwy, nie wykłada on bowiem zagadnień w sposób jasny i uporządkowany ani nie gwarantuje, że po jego lekturze przyszyły historyk właściwie zrozumie, na czym polega poznawana właśnie dyscyplina i rządzące nią mechanizmy. Każdego więc, kto zechce zgłębiać metodologię historii w podobnym nurcie światopoglądowym, wypadnie zachęcić, aby z większą dla siebie korzyścią sięgnął po starszą, ale sprawdzoną *Metodologię historii* J. Topolskiego. Jego propozycja – choć także w bardzo wielu kwestiach dyskusyjna – ma jednak zasadniczą przewagę. Jest przede wszystkim kompleksowa, przemyślana i wolna od współczesnych „zwrotów”. Niczego przy tym nie udaje, a zaprezentowane tam teoretyczne rozważania są bezpośrednim wynikiem przemyśleń płynących z praktycznego uprawiania naukowej historii przez autora, co skutkuje tym, że podręcznik ten znacznie lepiej wprowadza w jej metodologiczne problemy. Zawsze można też sięgnąć po podręcznik Wandy Moszczeńskiej (*Metodologii historii zarys krytyczny*, 1977). Z pewnością to z mojej strony staromodne, ale wciąż nie jest mi obojętne, z jakiego podręcznika metodologii historii i czego uczyć się będą przyszli historycy, a także jakie będą w związku z tym nauki historyczne w nadchodzącej przyszłości, której drogę toruje dziś omawiane Wprowadzenie.

ANEKS³¹

Paweł Stróżyk, Fakt historyczny z perspektywy źródłoznawstwa historycznego –
garść uwag

Pojęcie „fakt historyczny” uważam w ogóle – obok pojęcia „źródło historyczne” – za kluczowe dla rozumienia i uprawiania nauki historycznej. Jednak współczesne rozważania (nie)toczone wokół tego pojęcia, zważywszy jego bezdyskusyjną rangę, są zaskakująco ubogie. Fakt historyczny traktowany jest zwykle przez historyków i przez metodologów historii w kategorii pojęć oczywistych, czyli takich, które nie wymagają głębszego namysłu i dzielenia przysłowiowego włosa na czworo. Słowem – parafrazując księdza Benedykta Chmielowskiego – „fakt historyczny jaki jest, każdy widzi”, każdy bowiem (także historyk) odbiera i konkretyzuje otaczającą go rzeczywistość także poprzez punktowe zdarzenia/wydarzenia, zwane zwykle faktami. To sprawia, że zwykle współczesna refleksja nad faktem historycznym nosi znamiona quasi-refleksji, czyli ma raczej charakter potoczny niż naukowy. Są oczywiście pewne chlubne wyjątki, ale to, jakie miejsce zajęła (a raczej jakiego nie zajęła) ogólna problematyka faktu historycznego w dwu naszych głównych i aktualnie wykorzystywanych akademickich podręcznikach wprowadzających do studiów historycznych³², ujawnia nam terażniejszy poziom (nie)refleksji nad zagadnieniami faktu historycznego. Wszak to przecież w podręczniku winny być wyłożone zagadnienia podstawowe i kluczowe. Próżno tam jednak szukać sensownego objaśnienia pojęcia: „fakt historyczny” (także, co znamienne, pojęcia: „źródło historyczne”). Wydaje się więc, że w zakresie teoretycznych rozważań nad faktem historycznym (bo z pewnością nie w zakresie praktyki badawczej historyków) albo już wróciliśmy do epoki przednaukowej, albo tam w ostatnich latach dość szybkim krokiem podążamy.

Spory toczone wokół faktu historycznego omówił J. Topolski³³, wskazując przede wszystkim na to, że ów bywa rozumiany dwojako – w kategoriach ontologicznych (fakt historyczny jako coś, co „rzeczywiście było”, co historyk tylko rekonstruuje) lub teoriopoznawczych (fakt historyczny jako coś, co jest konstruowane przez samego historyka). Zwolennikami pierwszego ujęcia są zwykle ci praktykujący historycy (choć nie wszyscy), dla których ważniejsze od teoretycznych spekulacji jest doświadczenie płynące z prowadzonych przez nich badań, opartych przede wszystkim na sprawdzonych założeniach i regułach metodyki historycznej. Te zaś pozwalają im wskazywać i określać fakt historyczny przez pryzmat badanego przez nich tematu/zagadnienia. Metodolodzy historii identyfikują się zwykle z drugim podejściem³⁴, uznając jednocześnie swoje stanowisko za postępowe i nowoczesne, a stanowisko

³¹ Jest to wprowadzający tekst przygotowany na potrzeby spotkania seminaryjnego, które odbyło się w styczniu 2022 r. (zob. wyżej przyp. 22-23).

³² J. Topolski, *Wprowadzenie do historii*, Poznań 1998; W. Werner, *Wprowadzenie do historii*, Warszawa 2012.

³³ J. Topolski, *Metodologia*, s. 184-188.

³⁴ Zauważmy tu, że J. Topolski, Kilka propozycji w sprawie faktu historycznego, *Zeszyty Naukowe Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Historia*, z. 7, 1967, s. 58, opisując etapy procedury badawczej, używał jeszcze określenia „rekonstrukcja faktu historycznego”.

„ontologiczne” za wsteczne, gdyż pozytywistyczne. Pozostawiając na boku ów spór, należy zwrócić uwagę, że w żadnym razie nie jest on wsparty (po obu stronach) na jasno wyartykułowanych definicjach faktu historycznego, stanowiących punkt wyjścia i odniesienia prowadzonych rozważań. Prócz tego nie uwzględnia on także stanowiska źródłoznawczego, wciąż ignorowanego przez wielu historyków i metodologów historii, chociaż – odwołując się tu tylko do fundamentalnego dla źródłoznawstwa tekstu Brygidy Kürbis³⁵ – stanowisko to liczy sobie już ponad czterdzieści lat!

Źródłoznawstwo historyczne uznaje źródło historyczne za fakt historyczny, a nie jedynie – jak jest to wciąż jeszcze dekretowane w metodycznych i metodologicznych ujęciach – za dostarczyciela wiadomości/informacji o faktach. Źródła dostępne są historykowi w teraźniejszości, ale pochodzą z przeszłości, a zatem ich istnienie pozwala nam wskazać taki zbiór realnych faktów historycznych, które obiektywnie istniały w przeszłości (*sum ergo fui*), a których historyk nie „skonstruował”. Źródła-fakty, które rozumiem tu jako każdą zachowaną dostępną historykowi w teraźniejszości i w określonej przestrzeni, fizykalną (materialną) pozostałość po działalności człowieka i takąż pozostałość przyrodniczą z tą działalnością związaną, wraz ze wszystkimi danymi utrwalonymi przy użyciu pisma, obrazu oraz dźwięku, których ewentualnym nośnikiem może być ta pozostałość³⁶, opierając się na wypracowanych technikach badawczych, pozwalają wskazywać i rekonstruować kolejne fakty historyczne. Historyk może jednak wskazać i rekonstruować tylko takie fakty historyczne, na które pozwolą mu źródła historyczne (niekiedy bezpośrednio, niekiedy pośrednio) – rekonstruuje więc tylko pewne wycinki minionej rzeczywistości. Nie ma tu jednak dowolności, którą sugeruje określenie „konstruowanie” faktów historycznych. Fakt historyczny zawsze jest wynikiem naukowej procedury historycznej, u początków której leży źródło historyczne. Ewentualna swoboda historyka polegać może na konstruowaniu narracyjnych obrazów przeszłości, ale i tak tylko w określonych ramach, na jakie pozwalają fakty historyczne ustalone na podstawie źródeł historycznych, za pomocą weryfikowalnych metod warsztatowych. Historyk konstruować może o tych faktach własne opinie, ale to zupełnie inna kwestia. Nie można jednak pod żadnym pozorem mieszać tych dwóch spraw, uznając, że konstruowanie opinii o faktach historycznych (takie lub inne ujmowanie i wykorzystywanie faktu) jest równoznaczne z konstruowaniem samych faktów historycznych. Zauważmy przy tym, że tworzenie narracji historycznej jest postbadawczym etapem pracy historyka. Z perspektywy źródłoznawczej nie do utrzymania jest zatem stanowisko metodologiczne głoszące, że na etapie badania historycznego to historyk konstruuje fakty historyczne. Historyk je tylko rekonstruuje, i to opierając się na dostępnej podstawie źródłowej, czyli zespole realnie istniejących, „wyjściowych” faktów historycznych. Fakty historyczne zatem są albo obecne w teraźniejszości (to same źródła historyczne), albo się je w teraźniejszości rekonstruuje (na podstawie źródeł historycznych).

Stanowiska zakładające „konstruowanie” lub „rekonstruowanie” faktów historycznych nie są tylko sporem czysto teoretycznym – kryją w sobie bowiem kwestię

³⁵ B. Kürbis, *Metody źródłoznawcze wczoraj i dziś*, w: *tejże*, *Na progach historii*, Poznań 1994, s. 259-276 (pierwodruk: *Studia Źródłoznawcze* 24, 1979, s. 93-96).

³⁶ P. Stróżyk, *Źródła ikonograficzne*, s. 74.

fundamentalną. Jeśli bowiem przyjmujemy stanowisko metodologiczne (historyk konstruuje fakty historyczne), to niejako w pakiecie przyjmujemy także teoretyczne poglądy na źródło historyczne, traktowane przez metodologów tylko jako pretekst/alibi dla konstruowanych narracji historycznych (jest to nawet zrozumiałe – skoro bowiem sami konstruujemy fakty historyczne, to źródła historyczne nie są nam potrzebne, przynajmniej nie w takim zakresie, jak przyjmowano dotychczas). To zaś zwraca nas z drogi naukowej i prowadzi wprost do upadku naukowej historii – zapewne niedoskonałej, ale wciąż opartej w zakresie głoszonych twierdzeń historycznych, na weryfikowalnych procedurach badawczych (metodyka).

W rozważaniach nad faktem historycznym wiele uwagi poświęcano temu, czym jest fakt historyczny, jakie pełni funkcje w procedurze historycznej, czy jest konstruowany czy rekonstruowany przez historyka, jaki ma charakter: prosty, złożony czy masowy, czy jest zjawiskiem, zdarzeniem, stanem czy procesem etc. Ale wszystkie te teoretyczne rozważania wiszą w próżni, o ile nie stoi za nimi jakaś konkretna, wskazana, wyjściowa definicja faktu historycznego. Historycy i metodolodzy zwykle unikają jej formułowania³⁷, powołując się na złożoność i wielowątkowość zagadnienia. Taka czy inna, powinna być jednak początkiem rozważań, inaczej bowiem wszystkie poglądy formułowane na temat faktu historycznego, pozbawione punktu oparcia, prędzej czy później ujawnią swoją teoretyczną mizериę. A więc przede wszystkim odpowiedzieć powinniśmy na pytanie: co to jest fakt historyczny? Tylko z założenia początkowego wypływać mogą wszelkie dalsze ustalenia dotyczące charakteru i funkcji faktu historycznego. Unikanie definiowania faktu historycznego uważam więc za grzech pierwotny teoretycznych (metodycznych i metodologicznych) rozważań nad nim.

Zaproponujmy tu zatem na potrzeby naszego spotkania źródłoznawczą definicję faktu historycznego i zobaczymy, czy pozwoli nam ona wstępnie choć trochę uporządkować pole rozważań. Faktem historycznym nazwę każdy obecny w badaniu historycznym fragment materialnej lub niematerialnej przeszłości związanej z działalnością człowieka, określony czasowo i przestrzennie, a rekonstruowany przez historyka wspierającego się na dostępnej mu podstawie źródłowej i używającego weryfikowalnych technik badawczych.

W rozważaniach nad faktem historycznym często zapomina się o tym, że faktami są nie tylko zdarzenia (te przede wszystkim poddawane są refleksji historycznej), ale że są nimi także twory myślnie oraz twory materialne. Charakter poszczególnych faktów historycznych jest więc różny. Zauważmy tu, że Gerard Labuda, który zaproponował własną definicję źródła historycznego, wskazał obecne w nim obszary ludzkiej aktywności. Dzieliąc źródła na ergotechniczne, socjotechniczne i psychotechniczne, akcentował poszczególne rodzaje ludzkiej aktywności dominujące w określonym źródle, nie wykluczając przy tym obecności w nim pozostałych dwu sfer³⁸. Tak rozumiane źródła pozwalają nam (wykorzystując terminologię Labudy) określić fakty

³⁷ W. M o s z c z e ń s k a, *Metodologii historii zarys krytyczny*, s. 65, przyjęła, że: „Fakt historyczny (przedmiot badania) to częśćka tej [minionej – PS] rzeczywistości wydzielona myślowo przez wyizolowanie jej z większej całości, z której naprawdę wyizolować jej nie było można”.

³⁸ Zob. G. L a b u d a, *Próba nowej systematyki*.

historyczne pod względem rzeczowym jako fakty ergotechniczne (fakty materialne), fakty socjotechniczne (fakty niematerialne zdarzeniowe) oraz fakty psychotechniczne (fakty niematerialne myślnie).

Każdy rekonstruowany fakt historyczny (zawierający w sobie określoną rzeczywistość – materialną lub niematerialną – kryjącą się za pytaniem: *quid?*) musi mieć także określone ramy czasowe i przestrzenne³⁹. Nie ma faktów historycznych bez takich współrzędnych, określonych na podstawie źródeł historycznych. Mogą zdarzyć się oczywiście przypadki, gdy nie jesteśmy w stanie ściśle zrekonstruować tych ram, ale zawsze fakt historyczny musi zawierać w sobie lepszą lub gorszą odpowiedź na pytania: *ubi?* oraz *quando?* Fakt historyczny jest zatem rekonstrukcją ograniczoną pytaniami: *co?* *gdzie?* *kiedy?* Specjalnym rodzajem faktów historycznych są materialne fakty historyczne bez domkniętego czasu, czyli istniejące w teraźniejszości źródła historyczne.

Zauważmy tu, że każdy rekonstruowany fakt historyczny może zawierać w sobie składowe fakty historyczne niższego stopnia, a zarazem być faktem składowym faktów historycznych wyższego stopnia. Wszelkie wzajemne relacje poszczególnych faktów historycznych względem siebie źródłoznawczo wynikają z podstawy źródłowej, którą dysponuje historyk, merytorycznie zaś z realizowanego zagadnienia/tematu badawczego. Fakty historyczne mają swoją hierarchię źródłoznawczą. Najważniejszymi faktami historycznymi – okreśmy je tu faktami pierwszego stopnia (faktami bazowymi/wyjściowymi) – będą zawsze same źródła historyczne. W nich mogą być zawarte pomniejsze fakty historyczne, istniejące na zasadzie *sum ergo fui*. Będą to materialne elementy źródła historycznego, w tym także te, które stanowią zewnętrzną formę zapisu źródłowego (np. kształty liter). Faktami trzeciego stopnia będą fakty stanowiące treściowy zapis źródłowy (fakty treściowe, relacjonujące, przedstawiające etc.), czyli przekaz źródłowy. To właśnie takie fakty obecne w źródle historycznym Gerard Labuda określał „faktami źródłowymi”⁴⁰. Faktami historycznymi czwartego stopnia będą zaś te fakty, których istnienie zrekonstruujemy na podstawie zapisu źródłowego (czyli faktu trzeciego stopnia). Labuda określał je mianem „faktu historycznego”. Zauważmy przy tym, że nie wszystkie fakty trzeciego stopnia pozwalają zrekonstruować fakty czwartego stopnia (tzw. historyczne – według Labudy), ale każdy fakt czwartego stopnia musi mieć podstawę/odwołanie w fakcie trzeciego stopnia. Wyróżniłbym tu jeszcze fakty historyczne piątego stopnia, czyli takie, które rekonstruowane są naukowymi metodami badawczymi i wsparte są na już zrekonstruowanych faktach⁴¹. Fakty te pośrednio tylko mają oparcie w źródłach historycznych. A zatem, w skrócie:

1° źródło historyczne jako fakt historyczny;

2° fakt historyczny materialnie obecny w źródle historycznym (także materialna postać przekazu);

3° treść i forma przekazu jako fakt historyczny;

4° fakt historyczny rekonstruowany na podstawie przekazu źródłowego;

³⁹ Zob. J. Topolski, *Metodologia*, s. 193-199.

⁴⁰ Zob. G. Labuda, *O metodyce kształcenia*, s. 724-727.

⁴¹ Zob. W. Moszczeńska, *Metodologii historii zarys*, s. 253-255.

5° fakt historyczny rekonstruowany na podstawie faktów historycznych rekonstruowanych na podstawie przekazu źródłowego.

Rekonstrukcja faktów jest tylko elementem procedury historycznej. Fakty należy odpowiednio wyjaśnić. To wyjaśnianie odbywa się nie tylko na etapie właściwej rekonstrukcji historycznej, ale już na etapie źródłoznawczym, o ile zostanie on uwzględniony w procedurze badawczej historyka (etap kompleksowej interpretacji źródła historycznego, czyli „objaśnienie treści i funkcji zapisu źródeł, ich dziejowości”⁴²). Zaskakujące wydają się więc postulaty niektórych metodologów, wzywających historyków do wyjścia poza ustalenia faktograficzne. Jeśli metodologom wydaje się, że historycy ograniczają się jedynie do rekonstruowania faktów historycznych, ewentualnie do jakiegoś ich pogrupowania, to opinię taką należy czym prędzej zweryfikować. Owszem, dzieje się tak przy badaniach cząstkowych, gdy historyk tylko ustala fakty historyczne, dyskutuje je lub choćby weryfikuje. Każdy jednak historyk wie, że takie dociekania mają fragmentaryczny charakter i w perspektywie posłużą do wyjaśniania faktów historycznych, a na ich podstawie stanów rzeczy, zagadnień, zjawisk, procesów historycznych. Celem badania historycznego jest wyjaśnienie określonego fragmentu przeszłości, a nie jest to możliwe bez wszechstronnego wyjaśniania poszczególnych zrekonstruowanych faktów historycznych. Nieporozumieniem jest też twierdzenie, że ciągle ustalanie, czyli rekonstruowanie wciąż nowych faktów historycznych, jest przejawem metodologicznego zacofania większości historyków, liczy się bowiem tylko wyjaśnianie. Pytam jednak: co podlega wyjaśnianiu, jeśli odrzuci się fakty? Wyjaśnianie stanów rzeczy, zagadnień, zjawisk, procesów odbywać się może tylko poprzez ich dostrzeżenie i opisanie, a to nie jest możliwe bez znajomości faktów historycznych. Zredukowane podejście (wyjaśniamy, nie wskazując, co *de facto* wyjaśniamy) – przynajmniej do czasu urzeczywistnienia się wehikułu Wellsa – ma znamiona naukowej mrzonki. Nie sposób zatem przyjąć twierdzenia, że w przypadku nauki historycznej „pytania, które są załączkiem pracy badawczej, to: dlaczego? oraz jak?”⁴³. Pełne badanie historyczne uwzględni znacznie dłuższy ich szereg – „obok pytań: kto, co, gdzie i kiedy – *quis, quid, ubi, quando* – zaczęliśmy stawiać pytania: *cur, quomodo, quibus auxiliis*, a więc o powody i motywacje, o środki realizacji”⁴⁴ (w tym podstawowe pytania określające fakt historyczny: *quid, ubi, quando?*). Wyjaśnianie jest naszym zasadniczym celem, ale im więcej faktów historycznych znamy, tym lepsze i głębsze może być owo poznanie/wyjaśnianie historyczne. Historia jest nauką kumulatywną i oby taką pozostała.

⁴² B. Kürbis, *Metody źródłoznawcze*, s. 262.

⁴³ W. Werner, *Wprowadzenie*, s. 20.

⁴⁴ B. Kürbis, *Metody źródłoznawcze*, s. 264.